R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

DANES-PICTA.COM

PAMIĄTKI

STAREGO SZLACHCICA LITEWSKIEGO.

Henryk Rzewuski.

PAMIĄTKI

STAREGO SZLACHCICA LITEWSKIEGO.

Tom I.

WARSZAWA.
Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej".
Druk J. Sikorskiego, Warecka 14.

1900.

884-3: 8(08)

Дозволено Цензурою.
Варшава, 24 Апрѣля 1900 года.

9336/1



I.

Pan Ogiński.

Za dawnych czasów szlachcic z cierpliwością i statkiem mógł zawsze sobie kawałek chleba zapewnić. Służba po pańskich dworach krzywdy nie robiła; pan był razem opiekunem sługi; a jeżeli jak ojciec karał, to i jak ojciec kierował i o losie pamiętał. Ale nie każdemu dostać się można było do pańskiego dworu; trzeba było mieć zasługi ojca lub krewnych za sobą, albo jakichś dobrodziejów, coby się chcieli wstawić. Co do mnie, Opatrzność mną kierowała. Bo cóż mówiło za mną? Ojciec mnie odumarł przy piersiach, a gdyby i żył, szlachcic z Zaścianku, spokojny, kawałka roli pilnował; gdzie

prostaczkowi docisnąć się do pana! Moja matka powtórnie poszła za mąż, ojczym niebardzo był rad trzymać mię w domu, będąc ubogim a własnych doczekawszy się dziatek; ale Pan Bóg sieroty nie opuszcza. Miałem wuja woźnego, on miał dworek i ogród w Nowogródku; a chociaż miał dwoje dzieci, zlitował się nademną i zabrał mnie z Zaściankiu do Nowogródka, kiedy siedm lat mi się skończyło. To ja potem, wyszedłszy jakoś na człowieka, jego dzieciom choć w części przynajmniej wywiązałem się z tego, com był winien ich ojcu, a moją niewielką pomoc Pan Bóg tak pobłogosławił, że wnuki mojego wuja kłaniają się ludziom z grzeczności i z serca, a nie z potrzeby. Wuj żył z woźniowstwa i codzień jaki tynf kapał, a czasem i czerwony złoty w domu się pokazał. Wujenka studentów trzymała. Ja, to buty dyrektorom czyszcząc, to w kościele z bractwem śpiewając, to w ogrodzie pieląc, z małego do pracy nawykłem; co mnie potem bardzo posłużyło. Dyrektor u nas ze studentami mieszkał, a sam był studentem w czwartej klasie. Wyuczył on mnie czytać i pisać, tak, że księża jezuici przyjęli mię wprost do *Infimy* nie przechodząc *Proformy*. Uczyłem się naprzód z książki pana dyrektora, ale potem wujenka kupiła mi Alwara i już swobodnie uczyłem się ze swego, i gorliwie; bo codzień mi wuj mówił: — Seweryn-ku, ucz się! ty nie masz nad czem próżnować. Pó-

kiś mały, ja ci daję banicz i opończę, ale jak wyrośniesz, czego nie wypracujesz, chyba wyżebrzesz. — To ja bywało tak się boję, aby dziadem kościelnym nie zostać, że uczę się a uczę Alwara na pamięć aż płaczę, tak, że przed wakacyami na *gramatykę* uzyskałem promocyę. Później nasz dyrektor wstąpił do zakonu, a ja na jego miejscu dyrektorem zostałem i brałem po trzydzieści tynfów na kwartał. Wkrótce z własnej pracy przyszedłem do kontusika gredyturowego, dymowego żupanika i pasa półjedwabnego, a pałasz po ojcu oddał mi wuj, że jakoś w niedzielę można było uczciwie pokazać się między ludźmi. I wujaszkowi chleba już darmo nie jadłem, bo przepisywałem mu relacyę pozwów, przez co zawczasu przywykłem do prawa; a że z *retoryki* do palestry nie poszedłem, to dlatego, że następne wydarzenie na inny świat mnie zaniosło.

Jezuici w Nowogródku oddawna byli zaprowadzili Sodalisostwo Maryi; byłem i ja Sodalisem i do dziś dnia odprawiam pacierze z pallacium. Po śmierci księcia Radziwiłła, ordynata Kleckiego a Trockiego kasztelana, prefektem kongregacyi został JW. Ogiński, wojewoda Witebski; a ksiądz rektor w nagrodę, żem pracował i zasługiwał się profesorom, mianował mnie marszałkiem kongregacyi; bo nas było dwóch marszałków, jeden z konwiktu, a drugi ze stancyjnych. Naszym obowiązkiem było nosić laski przed prefektem i stać przy

nim w czasie nabożeństwa. Kiedy JW. wojewoda przybył do Nowogródka w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Panny, z wielką solennością oddali mu OO. jezuici prefekturę kongregacyi. Ja, jako marszałek, wystąpiłem do niego z mową łacińską, którą sam ułożyłem, bo trochę tylko ją poprawił ksiądz Narwojsz, profesor retoryki; a ja, nauczywszy się jej na pamięć, wymówiłem ją śmiało i z dobrą, jak ludzie mówili, deklamacyą, tak że zaraz wpadłem w oko JW. wojewodzie. Wypytał o mnie księdza rektora, który, jak się pokazało, dobrze mnie przed nim wystawił. Potem po nabożeństwie kazał mi przyjść do siebie, wybadywał co umiem i kazał mi pisać, aby się dowiedział, czy dobrą mam rękę. Napisałem mu kilka wierszy Kochanowskiego, a niżej po łacinie, że JW. wojewodzie było imię Bogusław. dodałem z własnego konceptu: *Ingentem Bogusłao defero cultum, a me minimo excelsus tibi honor.* To mu się tak podobało, że posłał po mojego wuja i powiedział mu, że chce mnie umieścić w swoim dworze. Na te słowa, i mój wuj i ja padliśmy mu do nóg, i zaraz, już za pozwoleniem mojego pana, poszedłem z wujem zabierać moją mizeryę i pożegnać się z wujenką. Nie obeszło się to bez łez, szczególnie z mojej strony, bo dwa razy rozpłakałem się; raz z czułości, drugi raz z bólu. Wujaszek dając mi błogosławieństwo i cztery czerwone złote w podarunku, powiedział te słowa: — Sewe-

rynku, staraj się o trzy łaski. Popierwsze, o łaskę Boską; powtóre, o łaskę pańską; potrzecie, o łaskę ludzką. Wszystkie moje opiekuńskie prawa zlewam na JW. wojewodę, pana twojego, i abyś służąc jemu, nie zapomniał, jaką jest władza opiekuńska, ostatni raz jej użyję. — Kazał mi się położyć i trzydzieści batogów mi odliczył, których nigdy nie zapomnę, tak szczerze były dane. Dobrze tedy zapłakany wróciłem do klasztoru, gdzie stał JW. wojewoda, który widząc moje łzy miał je za dowód czułego serca, chociaż one nie były jedynie z czułości.

Rozkazał wojewoda podróżnemu koniuszemu, aby dał mnie konia, na którym kazał mi jechać przy swojej karecie. Lubo oprócz wujowskich dwóch podjezdków, co ich czasem bywało pławić wodzę, nigdy nie zdarzyło mi się siedzieć na koniu, zwłaszcza porządnym; jakoś ze krwi polskiej dobrze mi się udało. Bo kiedy wyjechawszy już o ćwierć mili za miastem, opatrzył się JW. wojewoda, że okulary zapomniał w klasztorze; zawróciłem konia, wypuściłem go ku miastu, piorunem stanąłem na dziedzińcu klasztornym, szkodę odszukałem, zatrzymałem się nawet przez pół *Zdrowaś Marya* pod ratuszem, dla kupienia obwarzanków, i wróciłem do pana, okulary w ręku trzymając; a pan za to darował mi tego samego konia, na którym miałem szczęście pierwszą posługę mu zrobić. Przybywszy do

Słonima, gdzie często JW. wojewoda jako starosta Słonimski przesiadywał, kazał zawołać p. Szukiewicza, marszałka dworu swego, co go naówczas tytułowano łowczym Wendeńskim, a który umarł podstarostą Słonimskim, oddał mnie pod jego dozór jako pokojowego, a razem oświadczył, że w jego prywatnej kancelaryi pracować będę. Pan łowczy Szukiewicz był starożytny szlachcic, i miał dwa folwarki swoje dziedziczne w słonimskiem; był powiernikiem pana, który go często nawet do publicznych używał interesów, jako męża światłego i sumiennego, a liczny dwór on w wielkim rygorze umiał utrzymać. Naznaczono mi płacy po trzysta tynfów na rok, obrok na jednego konia, stancyę z dwoma innemi pokojowcami, obywatelskimi synami, i miejsce u stołu marszałkowskiego. Był zwyczaj u dworu, że przyjętego szlachcica na pokojowego, marszałek oporządzał w mundur przyjacielski domu Ogińskich: kontusz z sajety perłowej, żupan atłasowy zielony, pas takiż jedwabny z kwiateczkami i frendzlami złotemi, czapka zielona z kasztanowatym barankiem i czerwone buty. W tym stroju trzeba było być zawsze na pokojach, a ten ubiór nadal utrzymać ze swego. Ale na wstępie musiałem oblać ów mundur traktamentem dworzan i pokojowych, tak, że ze czterech czerwonych złotych, co mi wuj dał, zaraz trzy poszło.

Poznałem zbliska dwór magnacki i prędko się służby nauczyłem, a między dworzanami i pokojowymi będąc najuboższym, bo oni wszyscy byli obywatelskiemi dziećmi, niektórzy zaś i sami obywatelami, zasługiwałem się każdemu i uzyskałem łaskę ludzką, zaczynając od pana łowczego Wendeńskiego, który często sypał plagi na kobiercu moim kolegom, a na mnie się nigdy ani skrzywił. Nawet lubo, jako ojciec dzieciom, był oszczędnym, darował mi pas lity słucki, którego i senator nie powstydziłby się nosić. A to za to, że razu jednego będąc z nim w Stwołowiczach na kiermaszu, dla kupna sukien na liberyę dworską, gdy jeden towarzysz pancerny chorągwi JW. księcia Sapiehy, wojewody Trockiego, stojący tam na konsystencyi, przyczepił się do niego i zaczął w mojej przytomności szukać z nim okazyi, ująłem się za moim zwierzchnikiem. Zacząłem był od perswazyi, ale on zapamiętały w zuchwalstwie nie poprzestał swego, i jeszcze natarczywiej lazł mu w oczy. Ja, lubo towarzysz pancernego znaku więcej niż pokojowy, żem znał siebie szlachcicem, choć chudym pachołkiem, a do tego czułem, że trzymając się wielkiej klamki miałem plecy—dalejże do szabli na gołe łby. Noszę od niego pamiątkę na twarzy, ale i on porządnie dostał po ramieniu. Pan łowczy zawsze miał na uwadze, żem jego sławę zasłonił, i taki sam guza oberwałem; dobrze mię za to wystawił

przed panem. Zjednało mi to wziętość i u moich kolegów; widząc bowiem mię potulnym a pracującego piórem, myślili długo, że szablę miałem tylko dla ozdoby, ile że postanowiwszy sobie nigdy u dworu burdy nie robić, częstom przytyczki od nich cierpliwie znosił; ale kiedy gruchnęło, że pancernikowi dać radę nie było to dla mnie porwać się z motyką na słońce, zacząłem być u nich w poważaniu, jako człowiek spokojny z przekonania, a nie z bojaźni.

Tak tedy pracując pod ręką JW. wojewody, a nie mając nieżyczliwych przeciw sobie, przyszedłem do tego, że chociaż młody pozyskałem zaufanie u mego pana, i gdyby nie był umarł w początkach konfederacyi Barskiej, byłbym może wyszedł na jaśnie wielmożnego. Codzień modlę się za duszę mojego pierwszego pana, bo wiem, co myślał dla mnie zrobić; a to nadewszystko jemu winienem, żem spółobywatelom służył. Pamięć pierwszej dla nich usługi nigdy nie przestanie pieścić mej duszy, i niech ta moja relacya zajmując kiedyś wnuków moich, rozżarzy w ich sercu tę miłość dla swoich, którą do dnia dzisiejszego pałać ani na chwilę nie przestałem.

Po śmierci Augusta III, mój pan, jak wszyscy prawie panowie i my szlachta, życzył sobie, aby królewicz został obrany królem. Piszą tam szeroko, że Augustowie byli gnuśni, że rozpoili Polskę,

że naszego języka nie umieli, że taki nam lepiej mieć Piasta niż cudzego. Teraz i ja na to się zgodzę; ale dawniej jakoś to szlachta przywykła do rodu, który więcej lat sześciudziesiąt nad nią panował. Za królów Sasów była swoboda; było złe, ale było i dobre, a co więcej, za nimi byli wszyscy. Przyzwoiciej było szlachcie i panom ze swoimi błądzić, niż mieć słuszność z cudzymi. Otóż więc stolnik Litewski na tron wstępował; prawie wszyscy panowie, temu nieradzi, ukartowali po całym narodzie konfederacyę rozszerzyć. Zjeżdżali się, wysyłali jeden do drugiego gońców zaufanych, i wszystko się gotowało do wybuchnięcia. Ale niełatwo było rozpoczynać, bo kraj był napełniony wojskiem, że nie można było z jednego województwa przecisnąć się do drugiego bez spotkania komend; a te przejeżdżających zatrzymywały i trzęsły, czy jakich listów nie znajdą. Trzeba było robić ostrożnie, a tu książę wojewoda Wileński, Radziwiłł i JW. Pac, starosta Ziołowski, naglili a naglili mego pana, żeby zaczynać co prędzej; bo jego mieli za wielkiego ministra i dawali się jemu powodować. I słusznie, bo to była wielka głowa. Ale on wszystko kunsztował, żeby jeszcze czekać, aż odbierze wiadomości z Ukrainy i od chana Krymskiego, których spodziewał się każdej chwili. A pan Bohusz, co potem był sekretarzem generalnym konfederacyi Barskiej, ciągle przesiadywał u mego pana, i z so-

bą się naradzali, a lubo byłem użyty do pióra, ledwo przez dziesiąte domyślałem się, o czem oni konferowali, tak byli ostrożni. Aż tu jednego poranku, o czwartej zrana, przychodzi do przedpokoju sypialni pana, gdziem był na służbie, kozak jakiś, który poprosił mnie, aby się mógł natychmiast widzieć z JW. wojewodą. — Jakiż masz interes do niego, powiedz bracie?—Oto wezu jemu hostyńca od pana mojoho Potockoho, podczaszoho Litowskoho; win jemu prysyłaje dwi fury sływok. Na syłu tut prywiz, bo po dorozi wsiaki zaderżuje, a pytajetsia: majesz pismo? Oto jest' lyst od mojoho pana. To widbyrajut list, do starszyny nesut' a pisła widajut. Toho buło ze dwadcat raz, a szczo mene sływ pokrały! i połowyny ich nema.—Poczekajże, mój kochanku, niech się no pan obudzi. — Panyczu! pustite mene do jaśnie oświeconoho, bo ja ne mohu żdaty. — Ale, mój kochanku, czyś ty oszalał, żeby dla twoich śliwek budzić pana? Parę godzin poczekaj, a wolisz napić się wódki i śniadanie zjeść, niż nalegać, bym panu wczas przerywał. — Spasybi za waszu myłost' ałe ani pyty ani isty ne budu, poki ne podywłusia na wojewodu. Bytesia Boha, pustite; myni treba zaraz jechaty do Bociok. Zbudite pana, bo prysiajbohu, że win na was serdytyś bude, koły sia doznaje, szczo wy mene zaraz ne pustyły; a koły ja breszu, to potym byjte mene w smert, sam sia nawit położu. — Odważyłem się

wejść do sypialni pańskiej. — Co takiego? — zawołał pan. — Jakiś kozak przybył z Ukrainy do JW. pana, i ma list od JW. podczaszego litewskiego. — Na to pan: — Zawołaj go tu natychmiast. — A sam zerwał się, chałat na plecy zarzucił, ale z takim pośpiechem, że zapomniał przeżegnać się wychodząc z łóżka. Ja zawołałem kozaka, ten przyszedłszy, padł do nóg wojewodzie i podał mu list na czapce. — Sewerynie, weź list i czytaj głośno. — Czytałem, w nim nic nie było, tylko prośba, aby JW. wojewoda wypuścił w posesyę starostwo Bobrujskie, które do podczaszego należało, bo on gwałtem potrzebuje pieniędzy; a niżej w *post scriptum* znajdowały się te słowa: Stosownie do twojego żądania, dwie fury śliwek węgierek posełam ci z Murafy. JW. wojewoda powiedział: — Idź po Bohusza i przychodź z nim; a sam został z kozakiem. Zastałem pana Bohusza już ubranego i piszącego coś przy kantorku. Natychmiast poszliśmy razem i znaleźliśmy pana nalewającego kielich wódki kozakowi. Jak tylko wszedł pan Bohusz, wziął go JW. wojewoda do okna, i zaczęli z sobą coś szeptać, po kilkakrotnie na mnie pokazując. Potem odezwał się pan: — Sewerynie, pójdz do tego gabinetu, znajdziesz wodę na fajerce, a przy niej mydlniczkę, mydło, pędzel i brzytwę. Przynieś to wszystko i zabieraj się do golenia. — Zdziwiony, ale posłuszny rozkazowi pańskiemu, wszy-

stko co potrzeba przyniosłszy, zacząłem brzytwę wecować na pasku, czekając aż pan siędzie, ale w wielkim strachu, bom w życiu nie golił nikogo. A pan powiedział: — Połóż, co trzymasz w ręku, na stole; a teraz przysięgnij mi na tę świętą Ewangelię, że nikomu nie powiesz, co będziesz widział i słyszał. — Ja natychmiast przysięgę wykonałem: pan dał znak, kozak kląkł na środku pokoju, który zewsząd wewnątrz pozamykał pan Bohusz, a J W. wojewoda powiedział: — Sewerynie, ogól głowę temu kozakowi. — Coraz w większem zadziwieniu, zacząłem golić, aż gdy się skóra pokazała, spostrzegłem litery serwaserem na głowie napisane. Przybliżył się pan z W. Bohuszem, i wyczytali następne słowa: „Pierwszego Września zaczniemy nasze działania, Porta da pomoc“. Pan natychmiast W. łowczego Wendeńskiego posłał do Nieświeża z listem nic nie znaczącym, ale z obszerną instrukcyą. Pan Bohusz, raz za żyda, raz za cygana przebrany, to znowu w swej postaci, objeżdżał szlachtę; dość, że nie upłynęło trzech tygodni, a ruch był prawie po całej Litwie. Ale cóż? Porta pomocy nie dała; a tak wszystko się na nas skrupiło. I cuda męztwa nie mogły przeważyć liczby i okoliczności. Jednak udawało się nam czasem. W Swisłoczy, gdzie pierwszy raz poznałem się z kulami, napadliśmy na pułk piechoty; generał N. nim dowodził; kapitulował on i zaręczył podpisem i honorem, że ani sam, ani nikt

z jego komendy, do końca wojny w Polsce, wojować nie będzie. My zawierzywszy, pozwoliliśmy mu wyjść, a on w kilka dni znowu się bił z nami. Byłem pod Kleckiem, gdzieśmy z milicyą Radziwiłłowską i zbieraną drużyną szlachecką osiem godzin trzymali się przeciw całemu korpusowi; tam obiedwie siostry księcia Radziwiłła, z pałaszem w ręku, atakowały na czele jazdy; ale tak silna była artylerya nieprzyjacielska, że nie było sposobu. W tej to bitwie Aleksander Odyniec, miecznikowicz Wołkowyski, co później zginął pod Stwołowiczami, miał konia pod sobą ubitego, i trzy palce u prawej ręki kartacz mu urwał. Gdyby Odyniec młodo nie był skończył, na wielkiegoby wodza wyszedł. Kilka dni wprzódy, pod Stołpcami napadł był na całą brygadę, w puch ją rozbił, obiedwie armaty zabrał, a nie mogąc ich uwieźć, zagwoździł. Pan Tadeusz Rejtan miał nad nim dowództwo pod Stołpcami, i tam nauczył się go cenić. Gdy przy Klecku obaczył go leżącego pod koniem, zaklinał wszystkich, żeby mu podali konia, i uratowali od dostania się w niewolę; a że nikt nie był rad poświęcić się, pan Rejtan, pośród ognia najokropniejszego, podał mu swojego konia, i sam na los spuszczając się, mówił: — On wam potrzebniejszy niż ja, bo nikt was tak nie poprowadzi; a mnie, czy wezmą, czy ubiją, mniejsza o to. — Gdyby po trzy

palce utraciły wszystkie ręce przedajne, zamiast poczciwego Odyńca, los byłby sprawiedliwszy. — Wtem, jak zaczęli na nas sypać a sypać kartaczami, straciwszy połowę naszych, jęliśmy się cofać w nieporządku. To jeszcze szczęście, że z obawy powstania Mińskiego, przestano nas ścigać i dano nam parę dni odpoczynku; miał więc czas książę wojewoda nas zebrać i pójść na Ukrainę, dla połączenia się z podczaszym Litewskim.

II.

Pan Dzierżanowski.

Bitym charakterem na wołowej skórzeby nie spisać, jak i ile razy konfederaci Barcy popisali się. Gdzię tylko armat nie było, nigdzie nam nieprzyjaciel placu nie dotrzymał. A ludzi tak zgrabnych jak naówczas, to tera i nie widać. Między zgrabnymi, jakże nie porachować pana Franciszka Dzierżanowskiego, herbu Grzymała, a pułkownika pułku gumbińskiego, u którego miałem wielką łaskę, gdyż mi się udało jemu raz życie ocalić, a przynajmniej wolność; ale taki życie, bo on nie był z tych, co ich łatwo żywcem dostać. Będąc ja z nim zażyły, ile że on był wielmożnym, mógłbym jego kronikę na-

pisać. Jego ojciec był sługą i przyjacielem ordynatów Zamoyskich, i od nich miał w dożywociu Sułowiec pod Zamościem. Miał kilku synów, co dobre wychowanie wziąwszy po pańskich dworach, potem na ludzi wyszli. Ba! brat jego najstarszy był u nas marszałkiem, i o nim mawiano, że nawet był podobno gdzieś królem. Ale pan Franciszek z gramatyki uciekł i przystał na szeregowego do pułku Mirowskich. Ledwo czytać umiał, i to jak Pan Bóg dał; a kiedy co napisał, biesby się nie doczytał czego on chce; ale o dwadzieścia kroków na koniu siedząc, nigdy z pistoletu tuza czerwiennego nie chybił. JW. Mniszech, podczaszy W. K. a szef pułku Mirowskich, miał sobie za zabawkę szczególną widzieć go potykającego się w palcaty olejem i kredą namalowane; na niego bywało sześciu nasadzał, a on wszystkich sześciu kredą obznaczał, a jemu nic; co mu też na złe nie wyszło, bo JW. szef poruczeństwo mu w tym pułku kupił. A jak tylko konfederacya Barska nastała, on podmówiwszy swój szwadron, kasę pułkową zabrawszy, pułkownika swego Larzaka, do którego miał ansę, dom zrabowawszy, z konfederatami się złączył. Nagradzając tę jego ku dobrej sprawie przychylność, generalność zrobiła go pułkownikiem powiatu Gumbińskiego, upoważniając do werbowania pułku i wszystkich oficerów fortragowania; a wkrótce pan Franciszek stanął na czele pułku wcale pięknego, który aż do rozwiązania konfederacyi ciągle się po-

pisywał. Co to były za piękne mundury! Czamarki i szarawary błękitne, żółte wyłogi; a sam pułkownik, prócz olstrowych, nosił jeszcze za pasem parę pistoletów, szablę u boku, a na plecach sztuciec, z którego bywało jak wystrzeli, jazda jak chrząszcze padała. Demurie (Dumouriez) wielce jego i jego pułk cenił, ale mu było przykro, że bez tłómacza nie mógł z nim rozmawiać. Demurie po łacinie gadał jak jezuita, i do nas tym językiem zawsze, ale pan Franciszek Pana Boga po łacinie nie umiałby nazwać, a cóż dopiero w dyskurs się wdać. Nadrabiał ci fantazyą, bo mocno to go sromało, że on jeden z ludzi stopniowych, co po łacinie ani słówka; ale temu nie można było zaradzić. Staliśmy obozem pod Tyńcem. Demurie miał nad nami komendę, nawet pan Kazimierz Puławski był jemu posłuszny. Owóż tedy wychodzi ordynans, aby nikt pod karą najsroższą nie ważył się po capstrzyku samopas z obozu się oddalać, a to z powodu, że nieprzyjaciel okolice plądrował, a podjazdy odosobnionych chwytały. Ale ten ordynans nie był panu Franciszkowi po myśli, bo o półtory mili od Tyńca, w Burzymowie, mieszkała pani sędzina Sulejowska, z domu Bonerówna, pierwszego ławnika Krakowskiego córka; wdowa w średnim wieku, urodziwa, dobrego rodu, bo jak wiadomo: *Civis cracovienis nobili par*, i bogata; pomimo dożywocia na mężowskim Burzymowie, miała sto tysięcy własnego wniosku i porządków mnóstwo. Otóż pan Franciszek, poznawszy ją

w Krakowie, do jej przyjaźni wzdychał. Stanąwszy tedy pod Tyńcem, a dowiedziawszy się w karczmie u żyda, że wielmożna sędzina tak blisko, niepospolitą poczuł ochotę oferta u nóg jej składać, ile że miał dobrą nadzieję, to jest z jej strony, bo co się tyczy jej familii, była zawsze przeciwna. Raz przy kielichu, gdy panu ławnikowi oświadczał się, prosząc o wsparcie, pan Boner spolitykował, mówiąc: — Moja córka od siebie zależy, będąc wdową; a potem, panowie wojskowi żartować lubicie.—I gdy na usilne naleganie konkurenta, zawsze mu jedno ni to ni owo powtarzał, tak pana Franciszka zniecierpliwił, że mu powiedział: — A jużci, szabli mojej na łokieć nie zamienię, bom szlachcic całki, ale nie przez pół. — Tem sobie więcej jeszcze sprawę popsuł; chociaż, gdyby się był nie wiedzieć jak w baranią skórę podszył, niczemby nie wskórał, bo familia sędzinej miała wielką nad nią przewagę, a na takowe małżeństwo nigdyby nie zezwoliła, ile że pana Franciszka za nałogowego kartownika trzymano. W Krakowie po całych nocach grywał, i tak ślicznie się ograł, że gdyby mu pan Zaręba nie był pożyczył trzystu tynfów, nie miałby o czem na wiosnę wojny rozpoczynać. Otóż tedy pan Dzierżanowski tak wysunął nam się z obozu do Burzymowa, że prócz jego Gumbińczyków, nikt się ani spostrzegł. Aż tu przededniem usłyszeli żołnierze strzały. Jego sztuciec ledwie nie jak armata hałasował, a że ci żołnierze byli z jego komendy, wiedzieli

o co rzecz, i obudzili pana regimentarza Zarembę, u którego byłem na ordynansie. A ten do mnie:— Otóż ten szaławiła taki narobił! weźże waszmość dwudziestu Gumbinów i ratuj go jak możesz. — Ja w czwał z Gumbińczykami; było cicho, ale ledwo półgodzinyśmy ubiegli, aż tu słychać znowu gęste strzały, i tuż tuż świtać zaczęło; aż tu widzim chmurę dragonów. Jak huknę: — Nacieraj! Bóg z nami!— nieprzyjaciel w nogi, tylko pan Franciszek na koniu, koło niego kilka koni, a on między niemi jak furman na wozie.—Panie pułkowniku, jak się masz? — A on na to:—Niech ci Bóg odpłaci, i wam koledzy, otoś mi brat; ale mię djable pocałował, patrz! — W istocie, ramię miał skłute i krew się toczyła. Na ziemi trzech dragonów leżało, jeden się ruszał.—Dobijcie go, niechaj więcej nie kąsa. — Tego Gumbińcom dwa razy nie trzeba było powiadać. — Winszuję, pułkowniku; trzech położyłeś. Oho pójdź-no, bratku, o pół mili dalej, tam czterech leży; oto ich konie. Przez tę chudobę omal mnie kaduk nie spiskał.— Pokazało się, że gdy wracał późną nocą z Burzymowa do obozu, czterech rajtarów zrobiło zasadzkę; ale że chłop większy niż tuz czerwienny, wszystkich czterech położył; mógłby tedy bez szwanku do obozu powrócić, ale zrobił mu się żal opuścić konie, zatem powiązał ich cuglami do swojego; szczęściem tylko, że broń na nowo nabił, ale już wolnym musiał stąpać krokiem ku Tyńcowi, a tak inni mieli czas go doścignąć. Poplątany

końmi, nie po myśli mógł się obracać; strzelałci wprawdzie, ale uciec nie było sposobu. Gdybym nie był przybiegł na ratunek, nie wiem coby się z nim stało, i dla tego silnie mnie polubił. Kiedyśmy już bezpiecznie wracali:—Sewerynie, bratku! — mówił do mnie—a co też będzie zemną w obozie, żem wylazł pomimo rozkazu?—Pan regimentarz markotny, ale pułkownika kocha.—A on mnie:—Mniejsza o regimentarza, bo to szlachcic jak ja, i jak waszmość, porozumieć się łatwo; ale ten utrapiony Niemiec czy tam Francuz, żeby mię nie kazał na kobyłę drewnianą wsadzić dla przykładu. Powiedzże mu, że ja jak na nią siądę, niechże pilnuje, żebym nie zlazł, bo mu w łeb strzelę jak psu.—A ja jemu:—Panie pułkowniku, któż znów widział? i siebie zgubisz i sprawę oszpecisz. — Skończyło się na mniejszem: bo generał Demurie konie zabrane odebrał, a jego na dziesięć dni do aresztu zaparł, co mu było i potrzebne, bo dało czas plejzer wygoić. On mnie chciał zrobić rotmistrzem w swoim pułku, i to mi było do smaku, że i mundur ładny był, i gotowe miałem zasługi; ale ludzie mnie odwiedli, a szczególniej wielmożny Korsak, porucznik Piatyhorców, który opiekował się mną i mnie świadczył zawsze. On mnie mawiał: — Żyj z Dzierżanowskim jak z kolegą, ale do jego pułku nie przystawaj, bo duszę zgubisz: on Pana Boga się nie boi, swoich i cudzych rabuje, a nierząd lubi, że aż zgroza. Już to różnie bywało, ale że wierzył po ka-

tolicku, tom świadek, bo i skaplerz nosił, i pacierz mówił, tylko że był tępy do książki, a ktemu na miejscu ustać nie mógł; nadto się modlił, dla tego miano go za heretyka, ale to niesłusznie.

III.

Pan Bielecki.

Wszystko dawniej szło lepiej niż teraz. Takie przestępstwa, coby je dziś miano za żart, to ludzi gorszyły, i widocznie kary od Boga ściągały: a teraz już namnożyło się tyle złego, takie szkaradztwa, których dawniej ani słychu, że Panu Bogu naprzykrzyło się karać; zdaje się mówić ludziom: *róbcie co chcecie.* A na co Pan Bóg ma widoczne kary zsełać, kiedy w Niego niektórzy albo wcale nic nie wierzą, albo wcale nie tak, jak potrzeba?

Oto był u nas już nie młody konfederat, ale jeszcze czerstwy, nazywał się *Bielecki;* imienia nie pomnę. Że był dobrym szlachcicem, dowód, iż go

tytułowano *sędzią grodzkim*; że był możnym, świadczą trzydzieści jeźdźców zbrojnych, których aż z Mścisławskiego przyprowadził, a że był światłym, to powiem, żem na własne uszy słyszał, jak z generałem Demulier (Dumouriez) po francusku rozmawiał. Do tego pobożny jak ksiądz, i dziwnie łagodnego przystępu, a chociaż obywatel możny a k'temu urzędnik, pokorny jak kwestarz; my wszyscy za niego ubićby się dali, a patrzcie jakich ten obywatel szczególnych doświadczał kolei. Oto był dworzaninem u króla Augusta II, i jego posiadał względy. Pan ten, acz wielkich cnót, widać że z pierwiastkowego luterskiego wychowania przyniósł, Boże mu przebacz, w łono Kościoła Bożego nieco skłonności do rozwiązłego życia. Pewnego wojewody żona wpadła mu była w oko, której nazwisko lubo mi wiadome, wymienione nie będzie, gdyż jej prawnuki teraz żyjące, ze wszech miar szanowne, nie radziby od przodka pochodzić, któremu się zdarzyło poślizgnąć; powiem tylko, że ta pani była urodziwą, rozumną, długi czas nawet cnotliwą; a król coraz silniejsze do niej czując zapały, używał dworzanina swojego Bieleckiego, aby zabiegami swojemi torował mu drogę do cudzej własności; a pan Bielecki jakby nie wiedział, że co Bóg zabrania, z tego król rozgrzeszyć nie może, z wiernością sługi panu pomagał. To się wnęcał do domu wojewody, nigdy przed szlachtą nie zamkniętego; to

nakoniec rozmowami swemi, jak to zwykle wiele na wystawieniu rzeczy zależy, przyczynił się o ile mógł do osłabienia przekonania, i ztąd wielkie złe wynikło. Pan wojewoda, zelant o sławę swoję, jako chrześciańskiemu senatorowi przystoi, zaczął żonę podejrzywać i mieć się na ostrożności. Razu więc jednego, gdy obaczył pana Bieleckiego wychodzącego z pałacu, kazał go schwycić przez hajduków swoich, i dopóty mu wytrząsać odzienie, aż z niego wypadł list wojewodziny do króla. Przeczytawszy go, i wiele złego wyśledziwszy, nie zważając, iż pan Bielecki się składał, iż jest szlachetnie urodzonym i komornikiem królewskim, kazał go zbić na kwaśne jabłko, i wpół umarłego z bólu wyrzucić na ulicę, za dziedziniec swojego pałacu, a żonę natychmiast z Warszawy do dóbr swoich wywiózł, i tam osadził ją w klasztorze Panien Zakonnic, fundacyi jego domu, w którym to klasztorze dni swoje w wielkiej pobożności i skrusze zakończyła.

Pan Bielecki odszedłszy z bólu, nie mając nawet środka do poszukiwania swej krzywdy, napróżno od króla, pierwszej sprężyny jego nieszczęścia, był pocieszonym i obdarzonym; tyle doświadczał wzgardy i poniżenia od wszystkich (bo komuż jego wypadek był tajny?), że nietylko dwór, ale świat nawet był mu w obrzydzeniu, i gdyby nie był natenczas żonaty, do klasztoruby wstąpił. Dobry król, litując się nad jego dolą, dawszy mu znaczną królewszczyznę w Mści-

sławskiem, wyjednał mu, iż go JW. Pociej wojewoda instrumentował sędzią grodzkim tamecznym, a pan Bielecki z majątkiem i znaczeniem gotowem, przeniósł się do tego województwa oddalonego, gdzie albo nie wiedzieć kiedy, albo i wcale się nie dowiedzą, co też to tam komu zdarzyło się w Warszawie. I długo też mu Pan szczęścił, bo znacznie majątek przyrobił, i do niemałej wziętości przyszedł u tamecznych obywatelów, co mówi za jego światłem, bo wiadomo, że na naszej Litwie, zwłaszcza zapadłej, nie łatwo szlachcie oswoić się z przybyszem. Ale po wielu leciech, jak to zawsze człeku złe za biedę dojrzewa, już nie wiem jaką drogą, a i tam doszło o wszystkich okolicznościach, które to niegdyś przebył w Warszawie, i rychło się po wszystkich uszach rozeszło i rozgnieździło się po pamięciach, i tak od niechętnych, na jakich i najlepszemu nie zbywa, do oziębłych, a potem do przyjaciół choć najgorliwszych, tak wszystko roztrąbiło, że i tu w końcu oczu nie można było pokazać. Ani na kondyscensye zapraszano, ani u niego bywano; a kiedy na jaki sejmik jako sędzia grodzki przyjeżdżał, to choć nieborak ust nie otworzył, miał się czego nasłuchać od tych, co sprawy w Grodzie przegrywali; to go pytano:—Gdzie rzemień tańczy, czy w Warszawie, czy w Mścisławie?—To mu gadano o rozdziale XI artykule 27 Statutu Litewskiego. Na pochyłe drzewo, jak mówią,

i kozy skaczą. Dosyć, że widząc pan Bielecki, iż między ludźmi poszedł w poniewierkę, i że trudno mu będzie dziatki, których miał dosyć, w przyzwoitych małżeństwach postanowić, a jeszcze trudniej między szlachtą promować, wielce się zasmucił; a nareszcie sędziostwo złożywszy, ślubował Panu Bogu, że jak niegdyś książe Radziwiłł Sierotka, Grób Pański nawiedzi, tusząc, że za to Zbawiciel zdejmie z niego sromotę. I dobrze się na tę podróż gotował, siła nagromadził pieniędzy, że mógłby za nie ledwie nie drugie tyle dóbr nabyć, ile ich miał, choć miał ich nie mało, i już się zabierał do podróży, a właśnie wtenczas kenfederacya Barska nastała. Otóż pewien tamecznych stron dominikan, co był i wielki teolog i świątobliwy zakonnik, a któremu mocno pan Bielecki wierzył, zamienił mu ślub w ten sposób, iż mu rozkazał wszelki grosz, co go nagromadził, użyć na uzbrojenie ludzi do konfederacyi, i samemu osobą swoją do niej akces uczynił. Zapewnił go, że działając w związku, takie same zyszcze odpusty, jakby na pielgrzymce. W czem, jak mi się widzi, ksiądz dominikan że był natchnionym pokazało się, że kilku a może kilkunastoletni zamiar w jednej chwili przemienił. Tak więc pan Bielecki trzydziestu ludzi na dzielnych koniach uzbroiwszy, przyprowadził ich do generalności w Mohilewie nad Dniestrem znajdującej się. A chociaż od młodości będąc to dworakiem, to urzędnikiem, sędziwego doczekał wieku bez za-

dnego doświadczenia rycerskich zabaw, ślubował jednak Panu Bogu, że przynajmniej trzy razy osobiście w boju znachodzić się będzie. Jakoż w ciągu naszej konfederacyi trzy razy znachodził się gdzie ciepło, a na każdy raz nosi na sobie niezaprzeczonego świadka. Najprzód był przy Jarosławia zdobyciu, z panem Rudnickim, co się później spaskudził, ale u nas był bardzo dobrym, i tam dostał strzał w nogę; a gdy przyszedł do zdrowia, był z nami pod Lanckoroną, gdzie nam była wielka pociecha, jemu z bólem przymięszana, bo kulę dostał w sustawę od ręki. Gdyby to komu z nas, pewnieby ręka uschła, lecz on miał ku wszystkiemu sposób: załatawszy ranę naprędce, kolasą na Bilsk się wywiózł, to tam Niemcy mu uradzili, że odrobinę władzy w ręku zachował. A tak po długiej kuracyi, gdy do zdrowia przyszedł, lubo jego ludzie ciągle z nami chodzili gdzie potrzeba, on pamiętał na ślub swój, że mu jeszcze jedna bitwa do rachunku nie dostaje. Aż w Częstochowie, pod okiem właśnie Najświętszej Panny, uzupełnił co Panu Bogu przyobiecał; bo gdy nas pan Kazimierz Puławski na wycieczkę wyprawił, on z nami wyruszył z własnej ochoty, a wystąpił wedle zwyczaju, jak do króla na biesiadę. Miał taratatkę ponsową ze złotemi potrzebami, i pas lity. Pan Puławski, co skromnie się nosił, przepychów nie lubił, a był żartobliwym; powiedział mu:—Panie sędzio, opam ętaj się waszmość; cały jesteś w złocie, jak szczupak w szafranie na wi-

gilię; chcesz widzę, aby cię miano hetmanem całego chrześciaństwa. I przebierz się, panie bracie, a nie ucz cudzych kul, kogo najpierwej witać mają.— A on mu na to:—Mości starosto dobrodzieju, wszak toć jam nie dzisiaj się urodził. Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi; jak zechce, znajdzie on mnie, choćbym pod ziemią się schował, a jeżeli nie, to wyjdę bez szwanku. — A pan Puławski: — Jak książka mówisz, mój sędzio; kiedy tak dobrą masz wiarę, niechże w las pójdzie moja przestroga. Kto robi co potrzeba, niech się nosi wedle woli swojej. A pokazało się, że każdy z nich był praw; bo dragon mu gębę przestrzelił w oczach naszych, jako pan Puławski ostrzegał, że go łatwo na cel wziąść; ale jak mówił sędzia, bez woli Pana Boga toby się stać nie mogło, o czem ani pułkownik, ani ja, ani żaden konfederat Barski nie wątpił. Gdy długo w Częstochowie wylizywał się, opowiadał nam wszystkie swoje zdarzenia, dodając:—Jużem teraz sobie rad, boć wszystko się dopełniło; zgrzeszyłem nogą chodząc gdzie nie potrzeba, ręką bom nosił listy ku złemu; a gębą, bo nie do dobregom namawiał: a gdziem zgrzeszył, tam mnie Pan Bóg dotknął, w czem niech Mu chwała będzie, a już ja do domu spokojnie wrócę. Jakoż zostawiwszy swoich ludzi, i na nich grosz panu Puławskiemu z jednym pachołkiem puścił się do Mścisławia, z nami czule się pożegnawszy.

Właśnie trafił na sejmik, gdzie podkomorzego

wybierano. Kilka było partyi i nie mogła szlachta się zgodzić, ale zaledwo się zjawił pan Bielecki konfederat, jednomyślnie go obrano podkomorzym. A toż nie cud oczywisty! tu dopiero był u nich w takiej poniewierce, że aż Grób Pański chciał nawiedzić, a tu ci sami jego na pierwszy urząd województwa wynoszą; dopiero tułacz, a teraz *princeps nobilitatis* jaśnie wielmożny; jakim i umarł, a że w wielkiej pobożności, zdaje się, iż o tem nikt wątpić nie będzie.

IV.

Rejtan.

Śmieją się z nas starych, że my radzi zawsze mówić o dawnych ludziach. Ależ kiedy bo i czasy i ludzie, wszystko to było lepsze niż teraz! Wielkie Sądy Boże: Pan Bóg Sodomie był gotów odpuścić, gdyby się w niej przynajmniej dziesięciu sprawiedliwych znalazło: czyż już i tak małej liczby u nas nie stało? Na to nigdy nie pozwolę. Nędza i ucisk częstokroć bywały zwiastunami wielkiej pomyślności. Dlatego ludzie mądrzy w naukach Boskich, których zgłębić nie można jeno przez wielką niewinność serca,

w mocnej są obawie, gdy się im wszystko dobrze wiedzie, jęczą, że tak powiem, pod niezmordowaną pomyślnością, i radzi są, kiedy jaki niespodziewany frasunek przerwie im cokolwiek pasmo, snute przeznaczeniem ciągle przyjaznem.

Takim był JW. Rejtan podkomorzy Nowogródzki, którego w młodości mojej często miałem szczęście oglądać, chodząc do szkół ze wszystkiemi jego synami, oprócz pana Michała, co się wychował w Nieświeżu z księciem Karolem Radziwiłłem, hetmanowiczem wielkim Litewskim. JW. podkomorzy był urzędnikiem, jakich i dawniej nawet niewielu bywało; bo i rozum nadzwyczajny i sprawiedliwość jego ledwie nie wyrównały wzorowi zostawionemu nam w świętych sędziach ludu Bożego. A pobożność i wiara! że gdyby nie pokora, umarłychby wskrzesał. On to był szczególnym dobrodziejem OO. jezuitów w Nowogródku, a ubogi tameczny klasztor dominikański przez jego szczodrotę został jednym z bogatych na Litwie. Bywało co miesiąc sprowadza zakonników do Hruszówki, by z niemi rekollekcye odprawiać, i wtedy dyscypliną chłoszcze się, jakby jaki winowajca; nie tylko on, ale cała czeladź.—Mój chleb jecie — prawi — potakujcie więc za mną. — Strach w całym dworze, kiedy się jaki dominikan lub jezuita pokaże, a żaden sługa go nie opuścił; starzeli się i umierali u niego, i byli przywiązani, że w ogieńby

za niego skoczyli, chociaż był groźny, że nie tylko słudzy, ale żona i dzieci były *czuj duch* przed nim, Nadzwyczajne miał on szczęście: z rodziców już bogaty, majątek powiększał ciągle, lubo zdawało się, że o niego nie dbał. Ani spyta co się na poletkach dzieje; dyspozytorzy jak chcą rządzą, a on powiada:— U mnie Pan Jezus gospodarzem, Najświętsza Panna gospodynią.—Jakoż zdawał się na nich tak dalece, że miał dobra Berezdów w województwie Połockiem, niedaleko Wielkich Łuk, do których przez całe życie swoje raz tylko na parę tygodni zawitał; a przecie kiedy je objął po ojcu, sześć folwarków tam było, dzieciom zaś zostawił jedenaście. Miał on jeszcze po ojcu Hroszówkę, w której mieszkał, trzysta chat w Mozyrskiem z własnego nabycia, i dożywocie na Rubieżewiczach od księżny kanclerzyny Radziwiłowej, która za jego dobremi radami miliony ocaliła. Nie znał wszakże zabiegów, o nic nie prosił, i o własne się interesa nie troszczył. Na zaszczyty równie był obojętny; dwa razy obrano go deputatem, raz posłem potem sędzią ziemskim, nakoniec na najpierwszy urząd województwa wyniesiony został; a na żadnym z tych sejmików się nieznajdował. Każde *laudum* i każdy *przywilej* szukały go w Hroszówce, a nie on ich w Nowogródku albo w Warszawie. Frasował się nieraz, że tak ciągła pomyślność nigdy się nie przerywa. Razu jednego zgorzał mu magazyn wódczany, w którym kilkoletni zapas był złożony. Nic z niego

nie uratowano; na trzydzieści tysięcy przeszło poniósł szkody; cały dom był w smutku, on jeden wesół rzekł:—Przecież choć raz się nie powiodło. Sobiem rad, bo Pan Bóg o mnie pamięta.—A to był jak żarcik Opatrzności; bo doby nie minęło, aż odbiera przywilej na starostwo Krzyczowskie, które na rok przynosiło więcej, niż co dopiero utracił. Wszyscy się w domu cieszyli, prócz niego. To mu spadło jak kamień z nieba, bo ani się starał, ani stosunków nawet nie miał u dworu. A w pożyciu domowem jaki szczęśliwy! Żona, to był anioł w ludzkiem ciele, tak cnotliwa i piękna; syny kawalerowie wzięci, że każdy ojciec mu ich zazdrościł; a córek było trzy piękne panny, co wyglądały jak młodsze siostry przy matce. Za życia powydawał je za potomków pierwszych domów naszego województwa. Jednę wziął pan Paweł Jeśman, chorąży Słonimski, którego przodek był wojewodą Smoleńskim; drugą wydał za pana Kazimierza Haraburdę, starostę Wiladymowskiego, którego ród w całej Litwie nie ma nad sobą starożytniejszego; trzecia poszła za pana Joachima Rdułtowskiego, kasztelana Nowogrodzkiego, co po śmierci teścia został podkomorzym naszym. A do tego taki był zdrów, że już mu było niedaleko osiemdziesiąt lat, a lekarstwa nie znał. To kiedy zapadł na słabość, która go przez cztery lata w łóżku trzymała i nakoniec życia pozbawiła, będąc okryty ranami i wielkie boleści

cierpiąc (jak lekarze mówili, bo po nim tego nikt się nie mógł domyślić), gdy wszyscy płakali, on weselszy niż kiedykolwiek, powtarzał: — dopiero zaczynam dobrze tuszyć o moim przyszłym losie, kiedy mię tu boli; dawniej sam siebie musiałem chłostać, a teraz mój Pan łaskawy mię chłoszcze. — To też pan Bóg, jako zapewne duszę jego zabrał do swojej chwały, tak i na ziemi pobłogosławił jego pamięci, między tylu godnemi dziećmi dawszy mu Tadeusza, jednego z największych mężów wieku.

W szkołach panu Tadeuszowi wszyscyśmy nad sobą wyższość przyznawalii lubo do nauk był dość tępym, a w zabawach najczęściej zamyślony, nawet ponury; nie miał tej giętkości towarzyskiej, innym niezbędnej dla otrzymania popularności. OO. jezuici długo usiłowali oduczyć go od ustawicznego zamyślania się, ale przekonawszy się, iż to było napróżno, dali mu pokój; a że w postępkach swoich był bardzo łagodny i pokorny dla zwierzchności szkolnej, chociaż jezuici dość byli surowi w prowadzeniu młodzieży, kilka lat upłynęło, a pan Tadeusz ani razu nie był strofowany. Raz tylko odebrał karę silnę, z następnego powodu: między konwiktami był już w czwartej klasie pan Władysław Oskierko, kasztelanic Nowogrodzki, którego ojca, ponieważ rodziła ostatnia z domu Gąsiewskich, znaczną swoję ojcowiznę Oskierkom przyniosła. Był to chłopiec wiel-

kiej roztropności i dziwnie bystry w naukach. Otóż na majowej rekreacyi zaczęto mówić o hetmanie Gąsiewskim, o jego sławie i zasługach. Jeden z uczniów odezwał się, że zrobiwszy akces do konfederacyi Tyszowieckiej, od tej pory zmazał plamę swego związku ze Szwedami. Kasztelanic w tym względzie bronił swego przodka; dowodził, że uleganie okolicznościom było całą jego winą i że przodek jego widząc, że siebieby zgubił a nie zbawił kraju, bardzo roztropnie zrobił, kiedy wszedł w układy, aby się zachował na czas sposobniejszy. Na to pan Tadeusz tak się oburzył, że porwawszy kamień, cisnął nim w głowę kasztelanicowi, aż ten się krwią oblał. Wielki z tego zrobił się rozruch w całym klasztorze. Postępek pana Tadeusza tem gwałtowniejszym być widziano, że kasztelanic z łagodnością się tłómaczył. Sam rektor oćwiczył pana Tadeusza, a potem kazał mu klęcząc przepraszać ukrzywdzonego kolegę. Ale pan Tadeusz pod plagami ani jednej łzy nie puściwszy, powiedział: — Nie przeproszę. — Kilkakrotnie był bity, a nic go przemódz nie mogło. Jak się uparł, stał jak opoka nieporuszonym. Przestał go bić ksiądz rektor, aby mu zdrowia nie nadwątlił; ale go do kozy zaparł, zkąd tylko na naukę wychodził: chcąc go tym sposobem do upokorzenia się zmusić. Cztery tygodnie wytrzymał wszystko statecznie, aż JW. Oskierko kasztelan Nowogrodzki przyjechawszy do szkoły i dowiedziawszy się o wszystkiem, sam go wy-

prosił. Bywały częste zatargi między studentami a przekupkami i żydami, i o to tak gęsto skargi do profesorów, że rady sobie dać nie umieli, mając około tysiąca chłopców do szkół chodzących. Jezuici wpadli na myśl szczęśliwą, której uskutecznienie wyrobili u JW. Jabłońskiego, wojewody naówczas Nowogrodzkiego; a to, aby był sąd szkolny przez studentów z pomiędzy nich samych wybrany, coby wszelkie sprawy ich z mieszczanami sądził bez odwołania. Jak to rozporządzenie przyszło do skutku, z początku lękały się przekupki być w sprawach swoich na dyskrecyi studentów; ale wkrótce błogosławiły tej ustawie, bo większej sprawiedliwości pod słońcam znaleźćby nie mogły. Popołudnia czwartkowe były przeznaczone na sądy, składające się z prezydenta, czterech sędziów, dwóch pisarzy i regenta. Studenci indukowali sprawy, a nawet żałącej się stronie sąd dodawał obrońcę studenta. Wszystko tak szło porządnie, jakby w grodzie; a tym sposobem młodzież wprawiała się do znajomości prawa i do mówienia publicznie. Co roku sejmikowaliśmy dla wyboru urzędników, ale jakeśmy raz wybrali prezydentem pana Tadeusza, nie przestał nim być aż do wyjścia swego ze szkół. Raz nawet przekreskował księcia Radziwiłła, marszałkowicza nadwornego, co potem był koniuszym Litewskim, lubo za nim sami księża jezuici forsowali. To pan Tadeusz bywało, aż mu książki z rąk wydzierają professorowie, tak się prawa uczy, aby do niego de-

kreta swoje stosował. Razu jednego brat jego pan Józef, przez swawolę jakiejść przekupce garnki porozbijał, i o to się sprawa wytoczyła. Pan Tadeusz wstał, a przekupka tyle ufała w jego sprawiedliwość, że się upierała, aby koniecznie sądził, ale on tego nie przyjął, mówiąc:—To nie idzie o ufność, ale aby robić jak prawo każe; a prawo nie pozwala, żeby powinny powinnego sądził. Wolę prawa pilnować, niż się cieszyć chlubą, że w sądzeniu na rodzonego brata nie oglądałem się.

Po rozwiązaniu się konfederacyi Barskiej wrócił pan Tadeusz do domu, osiadł w Hroszówce; ale to pasowanie się ciągłe, a świeżo odbyte, to zranienie najdrażliwszych uczuć, znacznie mu zdrowie osłabiało. Przy innych boleściach, często cierpiał zawrót głowy, a w ciągłych zadumaniach noce bezsenne przepędzał. Nikomu do siebie przystępu nie dawał. Gdy się odezwał, że żyć nie chce, zaczęli bracia mieć go w pilnej straży. Kiedy ośmieliłem się go nawiedzić, gdy mię jemu oznajmiono, przypomniał mnie sobie. – Pan Seweryn! to kolega szkolny i wojskowy; a dobrze, niech wejdzie! — Uprzejmie mię powitał, i z początku spokojnie rozmawiał; ale wkrótce zaczął drzeć na sobie wszystko i porywać się, że gdyby słudzy nie przytrzymali, na mnieby się rzucił. Ze łzami go pożegnałem. Jakoż wkrótce skończył swoję pielgrzymkę na tym padole płaczu. Wpadł w jakieś zapamiętanie, i szybę u okna rozbiwszy, szkłem

uraził sobie jelita. We dwa dni po tym przypadku, ducha Panu Bogu oddał. Mówię Panu Bogu, bo na kilka godzin przed skonaniem, zupełna przytomność mu wróciła i najprzykładniej gotował się na śmierć.

V.

Ksiądz Marek.

Co też to się dzieje na świecie! Już i cierpliwości nie staje patrzeć na czyny ludzkie, a słyszeć ich gadania. Takie zapomnienie o Bogu, taka obojętność dla Jego praw! Oj rozumni ludzie, rozumni ludzie! ciężko Panu Bogu odpowiecie, że tak świetne dary, coście z Jego łaski otrzymali, naprzeciw Niemu obracacie, gorsząc tylu półgłówków, którzy przez was bałamucą się tylko: a najczęściej z obawy by za głupców nie uchodzić, wolą potakiwać waszej lekkomyślności, niż się trzymać tego, czego ich wiara nauczyła.

Wedle nich cuda, to są urojenia ciemnoty. Bóg raz porządek ustanowiwszy, jego nie odmieni; módl się sto razy, czego swoim rozumem i pracą nie dostaniesz, tego nie wymodlisz. Święci, to byli poczciwi ludzie, stosowali się do ducha czasu, do ówczesnych wyobrażeń; ludzie im coś nadzwyczajnego przyznawali, ale te ich dzieje przed rozsądkiem zginąć muszą. Obrządki, Sakramenta, są to zbawienne ustawy dla gminu, które człowiek światły szanować powinien i nic więcej! Tak plotą o rządach Boga, jakby przy Nim była rada nieustająca, w którejby oni zasiadali.

Słyszałem ja to nieraz, ale na mnie żadnego wrażenia nie robiło. Człowiek poczciwy, a do tego szlachcic, czyżbym już tyle dał się owładnąć, bym odstąpił od tego, co tyle wieków, tyle podań, tylu mądrych a cudownych mężów, tyle cnót nadzwyczajnych, tyle niewinnej krwi na świecie utwierdziło? Ot tobym zasłużył, aby mnie do czubków zaparto.

W czasie konfederacyi Barskiej, pan August Sielnicki wojewodzic Podlaski, co był prawym obywatelem, a naszym kolegą, ale któremu podróże po zagranicznych krajach oczmuciły były rozum, że bez potrzeby wszystko nim świdrzył, bywało po swojemu chce nam wszystko tłómaczyć; nieraz uszy sobie zatykamy, tak nam dokuczy. Czasem też i obrywał za swoje. Ofuknął go porządnie za takowe gadania

JW. Krasiński marszałek generalny: — A co to waćpan za prorok — powiedział mu raz — abyś nowej wiary nauczał? My się naszej trzymamy i za nią bijemy, a jeśli waćpan jej nie rad, to wracaj do stolnika Litewskiego; tam znajdziesz dość farmazonów i przechrztów, co ci potakiwać będą. — A i ów pan Sielnicki, że to swoje nic do rzeczy plótł, więcej aby tem za rozumnego uchodził, niż z wewnętrznego przeświadczenia, o tem się przekonałem. On to zaczepiał księdza Marka, który go z wielką cierpliwością zbijał, ale nakoniec i cierpliwości mu nie stało zawsze jedno i jedno odpierać; ile że w każdej rzeczy świadomemu, trudna sprawa wdać się w certament z takim, który tylko coś nachwytał. Razu jednego wyzwał go na dysputę wedle swego zwyczaju, i dowodził mu, że tylko w Boga wierzy, a więcej w nic. Ksiądz Marek tłómaczył mu z początku, że tego nie dość, ale widząc go upartym, zapytał raptem: czy dawno się spowiadał? Coś mu na to odpowiedział wojewodzic ni siak ni tak, a ksiądz Marek jemu: — Jutro przyjdziesz do kościoła, ja waćpana wyspowiadam; a teraz idź do siebie, by się na jutro przygotować; to lepiej niż fatałaszkami trąbić w uszy tym, co te rzeczy lepiej od waćpana rozumieją. — Zmięszał się wojewodzic; my byliśmy ciekawi co z tego będzie. Poszliśmy z rana do kościoła i zastaliśmy go przy konfesyonale spowiadającego się księdzu Markowi. Nie rozpierał się z nim, ale bił się w piersi, a jaki

z niego zdawał się bezbożnik. Czy to wszystkiemu wierzyć, co kto o sobie mówi? Dobrze, że trafił na świętego męża, co go na drogę zwrócił; ale czy jest roztropnie, aby dla dogodzenia językowi żartować około zbawienia? Co do mnie, gdyby nie tyle innych gruntownych pobudek, samo patrzenie na to, co zrobił ksiądz Marek, byłoby mnie przekonało, że są ludzie którym Bóg użycza władzy nadzwyczajnej. To co opisywać będę, wszystkim współczesnym było wiadome, i teraz wielu jest jeszcze takich, co to słyszeli od ojców swoich, naocznych świadków. Już w tem był cudownym mężem, że najdumniejszych panów i najburzliwszą szlachtę tak był radą swoją zhołdował, taką ufność ku sobie zyskał, że chyba gdzie go nie było, tam się jedność przerywała.

Staliśmy obozem pod Jędrychowem, gdzie mieszkał JW. Ankwicz kasztelan Sandecki, pan godny i nam sprzyjający. Pan Bóg nie pobłogosławił go w synie; on w jego ślady nie wstępował, ale pokój umarłym. Otóż ten zasłużony senator starszyznę naszą zaprosił na wielki obiad do swojego zamku, a dla nas na dziedzińcu były zastawione stoły, bo wszystkim nie było sposobu pomieścić się razem. Cieszyliśmy się w Bogu, a w sali za stołem siedział między panami ksiądz Marek, o którym wiedział JW. kasztelan, co to był za człowiek. Spełniano rozmaite zdrowia wodzów; po każdem zdrowiu wiwa-

tówki słyszeć się dawały; aż ksiądz Marek powstawszy a nalawszy kielich:—Jaśnie wielmożni panowie— odezwał się—pozwólcie mnie wnieść jedno zdrowie— i zaprosił ich z sobą na ganek; tam podniósłszy oczy do góry, chwil kilka zostawał jakby w jakiem zachwyceniu, a potem: *Chwała wieczna Przenajświętszej Trójcy!* i spełniwszy kielich, przeżegnał nim chmurkę nad nami wiszącą. Natychmiast jak zaczęło błyskać a grzmieć, raz po raz siedem razy piorun uderzył, że aż wszyscy zaczęli tulić się do księdza, prosząc go by dał pokój, a wyznając, iż się mocno przelękli. Ksiądz Marek na to: — Nie bójcie się moje dzieci, Pan Bóg błogosławi zabawy nasze — i przeżegnawszy chmurę drewnianym krzyżem, co go z paciorkami nosił u boku wedle karmelitańskiego obyczaju, ona wnet się rozeszła, i najpiękniejsza wróciła pogoda. To się działo w oczach naszych.

A pod Rzeszowem jeszcze lepiej mu się udało. Nasz obóz przytykał Rozwadów. Nieprzyjaciel pokusił się nas z niego wyparować, i była o to przeprawa, ale my go porządnie przywitali, że aż ze wstydem musiał się cofać do swoich szańców pod Przeworskiem; więcej stu ludzi zabraliśmy w niewolę, nie licząc cośmy nabili. Ksiądz Marek na koniu, a zamiast szabli krzyż w ręku trzymając, pokąd potyczka trwała, wszędzie się znajdował i kilka razy był osko czony. On był dla wrogów łakomą zdobyczą, gdyż

wiedzieli co to było z niego, i że on dla nas lepszy niż sto harmat. Tak na niego ostrzyli zęby, że gdyby on i jakikolwiek z naszych wodzów, ledwo nie sam pan Kazimierz Puławski, uciekali przed niemi, a każdy inszą stroną — nie wiem jeszcze za którym prędzejby poszli w pogoń; lecz nie znali jego świętobliwości, ale myśleli że on sobie czarta zhołdował, a ten za jego rozkazem te wielkie sprawiał dziwy, na które patrzali. Oskoczyli go, my też dzielnie jego bronili, a on nam: — Nie uważajcie na mnie, moje dzieci, a swoje róbcie; oni mi rady dziś nie dadzą. — My go posłuchali; a jak takiego nie słuchać? i to nam posłużyło, bo wielu z nich za nim się cietrzewiło, a my to dusili jak swoich. Co natrą na księdza, by go porwać, to bagnety powietrze kolą mimo habitu, a ksiądz się tylko uśmiecha, że nieprzyjaciele ze złości aż od rozumu odchodzą; a na końcu widząc, że lubo ani żelazo ani ołów jemu nie szkodzi, ale że przecież nic złego imże samym się nie robi, dawaj próbować rękoma go porwać; ile że koń księdza Marka nie był zwinny, a on sam, jako zwyczajnie kapłan, po łacinie siedział; ale co który się przybliży, jak go swoim krzyżem przeżegna, to na ziemię bęc jak długi, a koń jego w cwał, nie nazad, ale do naszych, i tak kilkunastu położył, że każdy lubo bez szwanku wstał, ale utracił konia. Dopiero zaczęli co prędzej uciekać do swoich, a my za niemi, że gdyby nie ich przeklęte armaty, obóz byłby się nam dostał.

Ale nie na tem koniec. My ze sławą i zdobyczą wrócili do naszych. Pan Kazimierz Puławski kazał otrąbić capstrzyk, po którym już nikomu nie wolno wyjść z obozu, i sam poszedł do swojego namiotu z panem Goreckim, co jako oboźny był od niego nieodstępny. Zabierał się do wczasu, aż ksiądz Marek brewiarz swój przy ognisku obozowem odprawiwszy, poszedł do namiotu naszego wodza, a zastawszy już go leżącego: — Przepraszam pana starostę dobrodzieja, że tak późno przychodzę mu dokuczać, ale go mam o wielką łaskę prosić.—Mów, księże; co mamy i co moje, jest na twoje rozkazy. — Proszę mi pozwolić wyjść z obozu. — A dokąd myślisz się udać? — Zaraz trzeba mi być w obozie nieprzyjacielskim. — W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! a ty tam po co, mój księże? jaki interes? — Wielki interes, panie starosto, bo Pan Bóg mnie tam iść kazał; ale ani z klasztoru bez woli przeora, ani z obozu bez woli wodza, wychodzić nie pozwala. Pan Bóg dopiero mi objawił, że we wczorajszej potyczce jeden ich pułkownik śmiertelną raną odebrał, i przedniem się skończy. On z naszej wiary, a chociaż między niemi się zepsuł, Bóg łaskawy pozwolił mu pragnąć księdza. Trzeba mi go na śmierć dysponować. — Księże, ty lepiej znasz swoją rzecz, niż ja; ale pozwól sobie tylko powiedzieć, że

blisko trzech mil do ich obozu: Jeśli ma przededniem umrzeć, byś i jak leciał, w porę nie trafisz, trupowi nie pomożesz, a wpadniesz w ręce co ciebie umęczą. Czart go porwij, a wolisz się wyspać. — A nie godzi się tak mówić, panie starosto. Pan Jezus dał się umęczyć za tych przestępców, jak i za nas. A że czasu mało, to pokój dobry. Kiedy Bóg każe mi iść za Sobą, poradzi, bym w porę trafił; a ja dlatego jutro będę miał Mszę Świętą w naszym obozie. — Ale czy tylko powrócisz!—Na którą godzinę pan każesz wyjść ze mszą świętą, wyjdę. A kiedym to ja panu był nieposłuszny? — Kiedy tak, każę ci na ósmą z rana powrót twój mi zameldować. Ruszaj więc z Bogiem, dokąd On ciebie poprowadzi: ale pamiętaj, że mnie w wielkiej niespokojności zostawiasz. Weź-że przynajmniej jakiego mojego konia, bo z twoim podjezdkiem niedaleko zajedziesz. — Ja piechotą trafię, byle pan mię kazał przeprowadzić za przednie czaty, aby mnie nikt nie zatrzymał; bo tu tylko pan masz prawo rozkazy dawać. — Panie Januszu! — obrócił się pan Puławski do pana Goreckiego, obecnego tej rozmowie—każ księdza Marka przeprowadzić po za obóz.— Ale pan Janusz, co na nikogo nic nie zdawał, sam go poprowadził, by przytem jeszcze się przekonać, czy straż swojej powinności dopełnia. A ksiądz Marek ostatniego szyldwacha przeszedłszy, pożegnał godnego przewodnika, a że było ciemno jak w worku, natychmiast zniknął z przed jego oczu.

Jak się on tam dostał, to tylko jemu i Panu Bogu wiadomo; dość, że chociaż w obozie nieprzyjacielskim były straże, przychodzący nawiedzać umierającego pułkownika z wielkiem podziwieniem zastali księdza przy chorym, który go słuchał z wielką pobożnością i skruchą; a pomimowolnem uszanowaniem przejęci, stali przy wejściu do namiotu, aby im nie przeszkadzać. Tak ksiądz Marek, wedle woli Pana Boga, którego z sobą przyniósł, ocalił choremu duszę, opatrzył go Sakramentami, i nie opuścił pokąd ducha oddał, co rychło nastąpiło. Dopiero ci co namiot otaczali do niego, bo go poznano; a byli tam tacy nawet, których przeżegnaniem z koni pozsadzał, a oprócz tego, imię księdza Marka było głośne między niemi. — A to ty, co czartów na nas zwabiasz? Obaczym, czy oni ciebie z rąk naszych wyrwą — i zbliżali się do niego, jednak z obawą; ale że nie znikał im z oczu, a żadnemu nic złego się nie stawało, ośmielili się i wzięli go w swoje ręce. Oto była pociecha, że im się udało! — Przecież — mówili — nie zawsze czart tobie dopisuje. — A radość w całym obozie, że takiego pojmali brańca. Wyprawiono go zaraz do Lwowa, związali mu nogi i ręce, i posadzili na wozie między dwoma kapralami, jakich znaleźli najdoświadczeńszych, a pięćdziesiąt koni otaczało wóz, żeby go nikt widzieć nie mógł, i by go po drodze nie odbito. Choć między Lwowem a Przeworskiem

żadnego z naszych nie było, ale strach ma wielkie oczy. Ksiądz Marek nie był rad rozmawiać ze swemi assystentami; ale oni ciągle gabali go, że była gadka między niemi, iż jak się zamyśli, z czartem rozmawia i w ptaszka umie się przerzucić: więc ile razy się zamyślał, szamotali go kaprale, aby im nie uleciał, i ciągle go ściskali ręczyskami, że aż sińców podostawał.

Jadą tedy do Lwowa, jadą, aż ledwo siódma wybiła, i komenda i wóz wjeżdżają... gdzie? może do Lwowa?.. wcale nie, ale prosto do naszego obozu, gdzie dnia tego straż trzymali ludzie pana Franciszka Dzierżanowskiego. Kaprale dopiero się opamiętali, kiedy pułkownik przybliżył się powitać księdza i krzyknął głosem piorunującym, pokazując na nich: — Ściągnąć mi natychmiast tych łotrów z wozu! — A rajtary co na koniu siedzieli nazad w nogi. Pułkownik, co nigdy ze swoim sztućcem się nie rozstawał, dał ognia, ale spudłował; kazał za niemi w pogoń, ale nim się nasi zebrali, rajtary z przed oczu zniknęli, wicher chybaby ich dognał: a kapralów kazał odprowadzić do pana Puławskiego, który sam przybiegł na hałas strzału, by się dowiedzieć co to jest, i my za nim. Tam dowiedzieliśmy się o wszystkiem, i obaczyliśmy kapralów powiązanych a pomięszanych, i w lewo w prawo obłąkanym wzrokiem obracających. Ksiądz Marek do pana Puławskiego: — Proszę pana starosty kazać rozwiązać moich prze-

wodników i swobodnie ich odpuścić: oni na moją wdzięczność zasługują, wszakże oni mnie tu przywieźli. — A że nikt u nas księdzu Markowi się nie opierał, pan starosta kazał ich puścić, z wielkim żalem pułkownika Dzierżanowskiego, co koniecznie przekładał, że to byli brańcy jego ludzi, zatem, że do niego należą. Ale z panem Kazimierzem Puławskim krótka sprawa; puszczono ich na wolność wedle woli księdza Marka, a oni wszystkim do nóg, a najwięcej jemu, przepraszając go, iż ważyli się porywać na cudotwórcę; a potem ze łzami poczęli go błagać, aby im swoją czapkę podarował, że oni ją między siebie podzielą, a tem się zasłonią od kary, która na nich czeka w ich obozie, za to że rozkazu nie dopełnili. Nie mógł się oprzeć ksiądz Marek, i oddał im co żądali; ale jak tylko odszedł, by się do mszy gotować, pan Franciszek Dzierżanowski czapeczkę kazał im odebrać. — A co to? — mówił — my na siebie mamy broń oddawać tym hultajom? — Odebrał także raport przy nich będący, ale ich samych puścił, jako na to miał rozkaz. Jakeśmy się później dowiedzieli, i kapralów i ich komendę bardzo źle traktowano w obozie i na tem się skończyło.

Taki-to był człowiek ksiądz Marek, którego proroctwa dotąd między ludźmi krążą, a którego imię tak jest związane z naszą Barską konfederacyą, że kto sumienny i świadomy, a będzie pisał o jednej, musi wspomnieć o drugim. Znajdą się tacy, co to sły-

sząc ramionami ruszą, i ubolewać będą, żeśmy śmieli takowe rzeczy powtarzać. Czego ludzie nie zaprzeczą!? ale mniejsza z tem: trudno nie wierzyć temu, na co się patrzało nie samopas, nie we śnie ani gorączce, ale przy tylu świadkach, na jawie, przy zdrowiu dobrem a umyśle przytomnym. Mało dbam o zdania tych niby mędrków; a między nami mówiąc, lituję się nad niemi; a nie przestanę błogosławić Pana nad Pany, co przez sługę swojego Marka tak wielkie działał rzeczy.

Kazanie księdza Marka.

VI.

Było to roku 1769, czwartego listopada, w sam dzień świętego Karola, a tak pamiętam, jakby to się działo onegdaj. Słuchaliśmy mszy świętej w kościele OO. Bernardynów w Kalwaryi; kościół był jaknabity szlachtą, której mnóstwo panów przewodniczyło. Siedzieli na ławach książę Karol Radziwiłł wojewoda Wileński, solenizant, i Potocki podczaszy Litewski, i Potocki wojewoda Kijowski, i Pac starosta Ziołowski, marszałek generalny konfederacyi, i Rzewuski chorąży Litewski, a któż wymieni wszystkich tych panów? I na sejmach więcej ich nie widać; oni siedzieli w ławach, a my stali, ba nie tylko my, ale

i urzędnicy nawet stali, bo do ławek niełatwo było się docisnąć. Po mszy świętej ksiądz Marek karmelita, na którego cuda zacni ludzie patrzali, zaintonował *Te Deum laudamus*, a my szlachta śpiewali wtór i niektórzy panowie nawet; wszyscy śpiewaliśmy ochoczo, bo też było za co Panu Bogu dziękować. Przed czterema dniami, w sam dzień Wszystkich Świętych, jak na wiązanie JO. i JW. panom, nie zapominając i o nas szlachcie, pan Kazimierz Puławski starosta Warecki porządnie był wytłukł nieprzyjaciół pod Lanckoroną, i aż do Myślenic gonił, a i ja tam swoim nie szkodził, co mi trochę zaszczytu i nieco nieprzyjemności przyniosło, jak się o tem powie. Po hymnie wstąpił ojciec Marek na ambonę; my wszyscy natężyli uszu: raz że i łaknąć trzeba za słowem Bożem, powtóre byliśmy ciekawi, co też powie z powodu rocznicy urodzin JO. księcia Karola Radziwiłła, co był pan wielki, pobożny, dobrodziej szlachty i filar naszej konfederacyi, a którego w dniu tym przepomnieć nie zdawało się nam aby było do rzeczy. Przeżegnał się ojciec Marek, i tak powiedział:—Święty Jan Ewangelista mawiał: *Dzieteczki! kochajcie jedne drugich*, a ja wam to mówię, a raczej wymówię, że tak nie robicie. Kochamy naród! mówicie, a między sobą żyjecie w ciągłych swarach! Pięknaż to miłość ziemię kochać, a z ziemianami się kłócić; a wy panowie naczelnicy związku, pod hasłem

wiary i *wolności* ustanowionego! zamiast cobyście mieli dobry przykład dawać szlachcie, to albo sami ogień tworzycie, albo do gotowego drewka przykładacie. Czyż wy usadziliście się znękać cierpliwość i miłosierdzie Boże, aby inne narody nauczyć, ile to trzeba grzechów, żeby aż kraj zatracić? Wy się cieszycie wygraną pod Lanckoroną, a ja się smucę, bo ten dar Boży, będzie wam powodem nowej Boga obrazy, powiększy waszą pychę, waszą swawolę, waszą rozpustę! A kiedy bieda was nie poprawi, cóż to będzie z pomyślnością? Lękamy się Boga, mówicie; za wiarę walczymy i krew przelewamy. Bodajby tak! A to, co się u ciebie zrobiło na obiedzie, dzień trzeci temu, JW. marszałku Lubelski? Jak dwóch rotmistrzów związku twojego powadziło się, kiedy zapomniawszy o Bogu, z cierpkich przymówek przyszło do odgrażania się, do korda, to ty marszałku, cobyś miał mitygować, godzić, bronić nareszcie, jako poczciwy gospodarz, cóżeś uczynił najlepszego? Toś sobie z tego zabawkę robił! toś drugich panów zapraszał, ażeby byli świadkami, jak się Lubelczycy tęgo wikordy biją! A o cóż to się bili? Czy o honor Najświętszej Panny? Nie, o głupstwo, aby wam panowie czas przyjemnie schodził. Krew szlachecka dla pańskiej zabawy niech płynie! Tak to niegdyś w Rzymie, nim papieże nastali, bawili się pogańscy panowie, patrząc jak szermierze się zabijają. A i ci przecie krew szlachecką szanowali: bo szermierze byli

brańcy narodów, Rzymowi obrzydłych, ale nie szlachtą rzymską. Otóż to wasza wolność! wasza równość! wasza wiara! Wkrótce ja pożegnam was; powrócę do klasztoru Berdyczowskiego, z którego bodajbym nigdy był nie wyszedł! a tam będę błagał Najświętszą Pannę za sobą; tak, za sobą, bo samo patrzanie na wasze grzechy zmazało duszę moję. To wy Ją nazywacie Królową?... pięknych Ona ma z was poddanych! Dziewica przeczysta i panieńskiego serca, ma panować nad wszetecznikami i burdami? Złoży Ona wkrótce niegodną koronę, a wy raczej nierząd królem a rozpustę królową ogłoście. To będą godni was panowie; jacy poddani, tacy monarchowie! A więcej nie powiem wam, niegodny sługa Boży.

To wyrzekłszy, zszedł z ambony, i przed wielkim ołtarzem uklęknąwszy, zaczął śpiewać: *Przed oczy Twoje Panie*! Wszyscy stali jak wryci; nie mogłem widzieć co się natenczas działo z JW. Granowskim marszałkiem Lubelskim, ale jak mi później mawiał, pan Mikołaj Mórawski, naten czas porucznik pancerny księcia Karola Radziwiłła, który w assystencyi stał przy jego ławie, że pan Granowski tak się pocił, jak gdyby w łaźni siedział, a przecie to był czwarty listopad i dobry przymrozek na dworze; taki mu był wstyd. A nie bez słuszności, bośmy wszyscy wiedzieli, o co rzec. W sam Dzień Zaduszny zaprosił był na obiad obozowy panów i urzędników, i tych

co się dnia poprzedniego popisali pod Lanckoroną, co i mnie dała wstęp do jego stołu, a swoich Lubelczyków wszystkich. Otóż między niemi był pan Snarski, tęgi jeździec nie ma co mówić, i łebski w potyczce, ale zwłaszcza przy kielichu wielki kłótnik. Już to on i do mnie u stołu strzelał przymówkami, ale ja szanując gospodarza i dostojnych gości, wszystko mimo siebie puszczałem, raczej przysłuchując się dyskursom zacnych niżbym się miał oglądać na jaką siaką przymówkę. Tak tedy nie doczekawszy zemną zwady, i innych napróżno tentując, aż nakoniec dostał czego żądał od jednego ze swoich. Pan Bolesta, *Mańkutem* przezwany, lubo opodal od Snarskiego siedział, usłyszał iż ten się odezwał:—Wiwat powiat Urzędowski! czoło województwa Lubelskiego!—A że był ziemianinem łukowskim, markotno mu się zrobiło, i to mu wymówił. Od przymówek do wymówek, przyszło do tak grubych wyrazów, że zgroza było słuchać; a z tego gospodarzowi jeszcze większy śmiech. Wyszli z izby: a porwawszy się do szabel, przy nas bić się zaczęli. Urzędowczycy swego a JW. Marszałek obudwóch zagrzewał. Ślicznie się obadwaj składali, Panie Boże, przyjm to za żart! aż miło było patrzeć. Ale nakoniec silnie po łbie dostał Snarski; jak długi padł, krwią oblany. Myśleliśmy że już po nim, ale jakoś przyszedł do siebie; a potem cyrulik tameczny, jak zaczął mu chleb z solą do rany przykładać, a krew puszczać z ręki, cierpiałci

on jak w Czyśćcu, alem go jeszcze kilkanaście lat potem widział na kontraktach dubieńskich wojskim Urzędowskim, z głęboką kresą, ale zdrowego i opamiętałego. Jak ludzie mówili, bardzo był szacowany w swoim powiecie; a co się zrobiło z Bolestą, prawdziwie do dziś dnia nie wiem; ale dawno musiał umrzeć.

Wracam do swego. Ksiądz Marek śpiewał, ale sam jeden; bo my wszyscy tak się zadumali, że muchęby można usłyszeć; lubo nas była ćma, bo żaden z kościoła nie wyszedł. Ksiądz Marek po odśpiewaniu pieśni znowu na ambonę powrócił, co nawet starych zdziwiło, bo nikt nie słyszał, aby kiedykolwiek ksiądz lub zakonnik, jednego poranku dwa razy kazał. Dosyć że ksiądz Marek powróciwszy na ambonę, tak mówił:—W piersi uderzyć się muszę, że w dniu urodzin i imienin twoich, JO. książę wojewodo Wileński, dostojny wodzu naszego związku, zdawałem się na chwilę o tobie zapomnieć. Twoje i twoich przodków zasługi, poświęcenie się twoje, miłość szlachty i ta żywa wiara, którą ci Bóg pomimo twoich błędów zostawia, warte, ażebym się z tego przed obliczem was wszystkich skruszył. Dam ci więc w dniu, tak dla ciebie, a więcej jeszcze dla nas uroczystym, wiązanie najdroższe, bo go nigdzie nie otrzymasz, jeno w domu Bożym! To jest prawda, że jako prawy pan, gościnne i czynne twoje serce żadnej korzyści mieć nie chce,

z którejbyś drugim udziału nie zrobił. Wielce mnie pochwalisz, że w tej prawdzie, w tem wiązaniu tobie ofiarowanem, inni dostojni koledzy twoi swój także udział otrzymują. A jeżeli ciebie i kolegów twoich nie przekonam, że to co mówię, jest prawdą, każdemu z was wolno mię zawstydzić, mieniąc mnie kłamcą. Bóg często dla korzyści drugich, niegodnym sługom swoim wielkie rzeczy objawia. W tym względzie doświadczałem i ja Jego łaski. Oto rok siódmy temu, gdy w celi mojej gorzko płacząc, wzywałem opiekuna tej ziemi; widziałem go, tak jak na was przytomnych patrzę, a Bóg raczył udzielić siły, żem mógł znieść oblicze tego mocarza niebieskiego. Wiele on rzeczy mnie powiedział, których objawić mi nie wolno; ale to co mi się godzi, to wam powiem bez ogródki: bo anioła rzecz ani szlachcica, ani pana, ani króla nawet obrazić nie może; wszak każdy jest kmieciem przed nim. — Marku — powiedział mi anioł—źle się dzieje z nami. Nierząd nas zgubi. Wszyscy pragną rządu, a żaden z poczciwych rządzić nie chce. Król Sas, którego wszyscy kochają, a nikt mu nie pomaga, lada dzień zamieni koronę doczesną na wieczną, i będzie to co jest; rząd leży na ziemi, a nikt się schylić nie chce, aby go podjął. Pod różnemi postaciami do wszystkich waszych panów udawałem się; zawsze ta sama odpowiedź: przebrzydłe domatorstwo, nałogowe lenistwo! Byłem u Radziwiłła wojewody Wileńskiego; mówiłem, błagałem: jedź do Warszawy! zajmij się

rządem!... —cała Litwa twoja! ratuj koronę!... Aż płakał tak się rozczulił: ja z torbą pójdę, a niech korona będzie cała. – Ale tu nie idzie o ofiary z majątku, lub narażania życia; siedź w Warszawie i zajmuj się rządem.—Oto wiesz com wycisnął nakoniec?—*Panie Kochanku*, ja będę w Warszawie rządził, a mnie pan Michał Rejtan w Nalibokach wszystkie moje niedźwiedzie wybije. — Udałem się do wojewody Kijowskiego. Pan obszernych włości i coby je chętnie dla dobra kraju poświęcił; ale *uczciwszy uszy*, jakże to siedzieć w Warszawie, kiedy to człowiek przywykł po kilka dni ciągle z panem miecznikiem Ciesielskim pić w Szorsztynie, kiedy pani wojewodzina myśli, że mąż folwarki objeżdża? — Byłem u marszałka Mniszcha. Nie może! Kocha kraj, ale *świnia bura*, rządząc nie można mieć processów, a jakże żyć bez codziennych konferencyj z jurystami? — A pan Wielopolski krajczy koronny, kocha kraj, ale *bala bala*, jak zasiądę się w Warszawie, kto będzie dyspozytorów co sessyi do roboty napędzał? — A pan Krakowski? *Moja panno*, niech-no się obmuruję w Białymstoku, to i o kraju pomyślę.—A Książę Sanguszkę starosta Czerkaski? *Mopanie*, ja będę siedział w Warszawie, a moje stado w Sławucie sparszywieje. — Otóż taka wasza miłość, i dlatego tułacie się, żeby odzyskać coście dobrowolnie utracili. Niechże to za naukę wam posłuży nadal i waszym potomkom; płyńcie na desce,

kiedy już wygodny okręt przez niedbalstwo wasze odbiegł od lądu.

Mówił ów ksiądz Marek wiele jeszcze innych rzeczy pięknych. Płakaliśmy, a razem pocieszaliśmy się. Myślałem, że panowie których wytknął, rozsierdzą się na niego, ale nie. Owszem, każdy z nich wychodzącego uprzejmię powitał i w rękę pocałował, a solenizant na obiad zaprosił, gdzie, jakem się później od pokojowych dowiedział, kolejnym kielichem wszyscy panowie zdrowie księdza Marka spełnili.

VII.

Pan Rewieński.

Nigdy bez łez nie mogę wspomnieć sobie o ś. p. Ignacym Rewieńskim, co za jednomyślną wolą całej szlachty księztwa Nowogrodzkiego otrzymał sęztwo ziemskie, i był wzorem dobrych urzędników. On przy pewnej oszczędności żył ledwo nie po pańsku. Wystarczały mu dochody, i długów nie zostawił, chociaż dom jego przed nikim nie był zamknięty i częste bywały u niego zjazdy a każdy był nakarmiony, napojony i ugoszczony jak się należy.

Otóż sędzia, przy końcu kadencyi trzechkrólewskiej, powiedział mi po sesyi:—Panie Sewerynie, proszę waćpana na zapusty do Omniewicz, ale przewieź

nam i żonkę.— Skłoniłem się sędziemu, dziękując mu, iż raczy o nas pamiętać. Albo to tacy byli sędziowie jak dziś! Tedy z moją Magdusią, bryczką krytą (którą mi W. wojski Jabłoński dał *pro honorario* za odbytą kondescensyę na gruncie z ojcami Dominikanami Nowogrodzkiemi) puściłem się do Omniewicz. Trzeba wiedzieć, że w tamtych czasach bryczka kryta nie była rzeczą powszechną, i że palestra nasza, choć z obywatelskich synów złożona, ślicznie wózkami ruszała; ale gdy mi bryczkę dano, czemuż miałem jej sobie i żonie żałować?

Sędziego dom nie był pałacem, ale ileż tam mieściło się gości! Dziśby tego nikt umieścić nie potrafił; a jaka uprzejmość, jaka szczerość, jaka wesołość! Ja z żonką stałem na folwarku u dyspozytora, który jak to wtenczas bywało, nie sługą, a przyjacielem był pana, nawet miał z nim jakieś powinowactwo. Oprócz nas jeszcze troje małżeństw mieściło się w pokoju, a dwoje w alkierzu z ekonomstwem. A co też tego było we dworze! W sali jadalnej pięć stadeł. Młodzież roztasowała się po chłopach. To codzień z rana W. sędzia wszystkich objechał, i każdemu dzień dobry zaniósł, przepraszając za niewygody, chociaż nie było za co przepraszać. Pewnie nikt się nie obudził przed sędzią, bo to u nas był wielki wstyd, żeby gość był wprzód na nogach, niż gospodarz. A W. sędzina

wszystkie obywatelki objeżdżała z sędziankami, i niejednę w łóżku zastała, chociaż już i pacierze odbyła i kawę ze śmietanką wszystkim gościom sama porozsełała. Około dziewiątej z rana wszyscy zbieraliśmy się na pokojach, gdzie już i sędzina i sędzianki poubierane siedziały, ażeby gości bawić, a gospodarz przyjmował ich w sieniach i wprowadzał do żony każdego, nie wchodząc w jego godność. Bo chociaż my niżsi umieli czcić powagę urzędu, znaliśmy dobrze, że jako szlachta wszyscyśmy byli równi. Otóż ja, co tylko susceptantem byłem, to kiedy mnie W. sędzia, tak majętny i dostojny obywatel, w sieniach witał i nizko kłaniał się, i przed sobą do pokoju wprowadzał, umiałem przyjąć jego łaskawą grzeczność i w kolanom go pocałował: a przecie, gdyby mię inaczej przyjął, poczytałbym się za silnie ukrzywdzonego. Zebrawszy się tedy w pokoju bawialnym, pocałowaliśmy rączki wszystkich pań, poczynając od gospodyni i jej córek. Sługa wszedł z gorzałką i zakąskami. W. sędzia odezwał się:—Panowie dobrodzieje, raczcie się rozgościć—i odpasał szablę, a my wszyscy poszli za jego przykładem, i w kątyśmy je postawili, ale tak, żeby każdy o swojej szabli wiedział, bo jak tylko jaki senator albo wysoki urzędnik przyjeżdżał, trzeba było nam wszystkim szable przypasać, biedz do sieni za gospodarzem dla przyjęcia gościa, wprowadzić go do pokoju, a dopiero odpasać się, gdy on sam się odpasze.

Ale ta grzeczność obowiązywała tylko względem ministrów, senatorów, dygnitarzy i podkomorzego; a nas palestrę także i względem urzędników sądowych, jako nad nami zwierzchność mających. W. sędzia, gdy widział wszystkich rozgoszczonych, nalał kieliszek gorzałki, i spełniwszy go oddał wraz z flaszką gościowi, którego uważał być najpierwszym, a ten toż samo zrobił: tak, że każdy z nas z jednego kieliszka pił i dopiero ostatni wypiwszy, służącemu nalał, który po spełnieniu, odnosił gorzałkę do kredensu, a wszyscy się brali do wędlin. Wiedzieć potrzeba, że jeżeli się znajdował ksiądz, co zawsze bywało, od niego zaczynano wódkę; chyba, że był senator, a i ten jakieś ceremonie z księdzem robił. I to się chwali: bo ksiądz do świata nas wprowadza, i daj Boże, aby ze świata nas wyprowadził; a potem, nie wiecie co to był ksiądz za naszych czasów. To bywało książę Karol Radziwiłł wojewoda Wileński, na którego często patrzałem, a nigdy bez strachu, choć go z serca kochałem, jak i wszyscy co go znali; miał dziewięć tysięcy ludu w swojej milicyi, a że nikt nie jest bez ale, był porywczym; to jak się rozdąsa na kogo, czy to z plotki, jak po wielkich dworach bywa, czy z jakiego widzimisię, wie Bóg jaki rozkaz na niego wyda, i pod ziemią szlachcic nie byłby bezpiecznym; a jak takiemu dać radę? Perswadować, to zamiast jednemu dwom byłaby bieda. Oto udawano się do księdza Kantembrynga, proboszcza Nieświeżskiego: — Książę chce

mię ukrzywdzić pobudzony przez złych ludzi, ratuj mię! — A on natychmiast do księcia: — Mości książę, czy to się tak godzi? Wszak W. K. M. nie pierwszy ordynat nieświeżski: gdzie się podzieli antenaci jego, tam i książę pójdziesz; a jak się Panu Bogu pokazać, nosząc na sobie płacz ludzki! Zaniechaj książę tych impetów, a w imię Zbawiciela proszę cię, abyś rękę podał struchlałemu nieborakowi, którego gniew W. K. Mości tak przeraził, że nie wie gdzie się podziać.— To książę rad nierad reflektować się musiał, jeszcze chudego pachołka obdarzył, nagradzając mu strach, a wszystko przyzwoicie się kończyło. Po gorzałce zaczynały się zabawy przedobiedne. JW. Jeleński kasztelan Nowogrodzki, który zaszczycał towarzystwo nasze swoją bytnością, siadał do maryasza w pulę z gospodarzem i W. Rdułtowskim chorążym Nowogrodzkim, którego żona była siostrzenicą księcia Radziwiłła, a on sam był orderowy pan. A choć to byli możni ludzie, po złotemu tylko grali; bo to była u nas wielka sromota w karty się zgrywać: nie tak jak teraz, co lada szlachcic, często i nie osiadły, złoto na karty sypie. Prawda, że i za naszych czasów niektórzy panowie w Warszawie poprzyuczali się szulerki, ale to im się nie chwaliło. Książę biskup Ignacy po całych nocach bywało grywał w swoje francuskie karty. A w Nieświeżu francuskich kart dostać na lekarstwo nie można było, bo książę tego towaru srogo zakazywał, i za to niemiłosiernie pla-

gami ich karał. Więc panowie maryaszem, a my niżsi rozmową starszych zajmowali się. Mówiono o sejmach, o posłach co się na nich wsławili, o prawach naszych, o konfederacyi świeżo rozwiązanej. Potem zaczęto mówić o gospodarstwie, do czego i kobiety się mięszały. Pani sędzina zaczęła się popisywać, wynosząc rozmaitych kształtów moteczki i płótna swojego urządzenia. Wszyscyśmy chwalili jej pracę, a ojciec gwardyan z Iwieńca, co przez ten cały czas trzymając na kolanach małego sędzica obrazkami go bawił, odezwał się:— *Laus tibi, Christe*, żeś mnie do Omniewicz przyprowadził. Właśnie nasza zakrystya obdarła się; w łatanych albach za dobrodziejów Boga prosić przychodzi, a tu piękne lniane płócienka tęsknią do kościoła, i same proszą, ażeby zemną pojechały do Iwieńca.—A sędzina mu na to:— Weź ile chcesz sobie, ojcze gwardyanie, masz do tego prawo; wszak ja wasza dłużniczka za cebulki tulipanowe, coś mi dał w jesieni.—Pan sędzia odezwał się:—Ale wybierz-że ze wszystkich pół setków najcieńsze; bo jak mi się nie popiszesz, to będę się skarżył kapitule; że nam takich gwardyanów przysełа, co się na gospodarstwie nie znają.— W tem Wawrzyniec kredensarz wszedł z serwetą na plecach, coś sędziemu szepnął, a sędzia wstawszy powiedział żonie: — Kochanko, proś JW. kasztelana do stołu.—Za przykładem pierwszej pary, my wszyscy, wziąwszy kobiety pod rękę, poszliśmy do sali, gdzie stół był zastawiony, a przy

nim stołki i ławki. Siedzieliśmy wszyscy za stołem, oprócz samego sędziego, który jako gospodarz, chodził od jednego do drugiego w około stołu, aby usługi z oka nie spuścić. Nadmieniłem o Wawrzyńcu kredensarzu, bo tego sługę znała cała palestra nowogrodzka. On na rękach kiedyś nosił sędziego, a u nieboszczyka wojskiego Rewieńskiego, wielkiego myśliwego, był dojeżdżaczem, potem lat kilka furmanem i woził go do Warszawy. Była to kronika żyjąca domu Rewieńskich. Pamiętał kiedy nieboszczka wojska w ciąży chodziła z sędzią, jak cyganka jej wróżyła, że będzie miała syna, co w zaszczytach przejdzie ojca swego; i to często młodemu paniczowi przypominał. Otóż kiedy ten później wybrany został sędzią ziemskim, pierwszą rzecz co zrobił, to że całą familię Wawrzyńca od wszelkiej robocizny uwolnił, a jego samego z furmana na kredensarza postąpił. Co kadencyi Wawrzyniec z panem swoim przyjeżdżał do Nowogródka; to my codzień bywało na attencyę do sędziego chodzim, którego choć czasem we dworku nie było, Wawrzyniec nas wszystkich wódką traktował; a sam nie wiem czy jej smak znał, tak był trzeźwy. Lubił on tylko o starych rzeczach gadać, osobliwie o polowaniach nieboszczyka. Za stołem u obiadu stojąc, do dyskursu się mięszał, ile razy o nieboszczyku mówiono; bo sędzia jemu wielkiej do siebie konfidencyi pozwalał, że był bardzo do państwa

przywiązany i tęgo znał służbę. Czasem kilkadziesiąt gości u sędziego podochociło się, a pewnie ani jedna butelka na bok nie poszła. Do tego psy na nosaciznę, a konie na robaki miał sekret leczyć: czego sam kilka razy byłem świadkiem. Przy obiedzie po pierwszych potrawach zaczęto kielichem się bawić. Kielich niewielki zaczął kolejno obchodzić; jedni winem, drudzy miodem, zdrowia rozmaite pili. Gospodarz zaczął, JW. kasztelan w ręce chorążego Rdułtowskiego, a wkrótce potem w ręce kasztelana spełnił zdrowie chorążego, następnie kasztelan zdrowie gospodarza, a chorąży gospodyni; gospodarz znowu rozmaitych zasłużonych a obecnych obywateli; z rąk do rąk kielichy szły, a każdy skrupulatnie swój wychylał, bez wylewania na ziemię, bez domięszywania wody i innych podobnych obłud, jakich później namnożyło się, nim przyszło do tego, że gościa bodaj i najzacniejszego, przyjmuje się bez picia jego zdrowia, co ma być dowodem, że teraz więcej grzeczności, niż za naszych czasów! Po obiedzie zaczynały się pląsy, tańce i mazur, na przemianę. A tak i młodzież i sędziowie bawili się, a kielichy ciągle chodziły aż miło. Zabawy były niewinne, szczere; każdy serce na ustach nosił, bo nie miał potrzeby go zakrywać. Kiedy podochoceni zaczynaliśmy śpiewać *Kociubrychę*, a przyszło do ostatniej zwrotki: *Kurdesz, kurdesz, nad kurdeszami*, a hukniem razem: *kochajmy się!* to nie był czczy wyraz ale można było być pewnym, że każdy

dla wszystkich, a wszyscy dla każdego choć w czyściec. Otóż tak było w Omniewiczach. Mocarze zazdrościliby szlachcicowi polskiemu, gdyby byli świadkami jak umiał siebie i gości bawić na łonie równości.

W ostatni poniedziałek z rana, gdyśmy byli zebrani u sędzinej, sędzia wpadł z obliczem uradowanem i powiedział: — Kochanko, baw gości, bo muszę natychmiast konno wyruszać naprzeciw dostojnego gościa, co swoją osobą chce zaszczycić ubogi nasz domek. JO. książę Radziwiłł wojewoda Wileński w samo południe tu będzie, zatem na granicy mojego dziedzictwa biegnę go przyjąć. — Ledwo to wyrzekł, prócz JW. kasztelana Nowogrodzkiego, co jako senator w domu został, i kilku starszych, wszyscyśmy się upomnieli, by W. sędziemu asystować. Niektórym wystarczyło sęzkich koni, reszta każdy zaprzężonego konia uchwyciwszy i okulbaczywszy pierwszem siodłem lub terlicą, na którą napadł w masztarni sędziego, ruszał na spotkanie księcia, a nie jeden i oklep; bo choć masztarnia była porządna, gdzieżby wszystkim nastarczyć; więcej niż w pięćdziesiąt koni ruszyliśmy. Droga była kopna, a my ciągnęli się sznurem; konfederacyę Barską mnie to przypomniało, ile że biegłem naprzeciw jednego z najgorliwszych jej wodzów. Niedaleko Naci, przy karczmie *Czarnoszczenie* zwanej, z powodu, iż prostota powtarza, ja-

koby kiedyś dyablica miała się oszczenić obok tej karczmy, na tem samem miejscu, gdzie teraz stoi św. Jan Nepomucen, spotkaliśmy pierwsze sanie orszaku księcia, a ostatnich jeszcze okiem dojrzeć nie można było. Więc my ustąpili z drogi, czekając aż sanie samego księcia nadejdą. Śniegu koniom było po brzuch; sędzia z urzędnikami stał przodem, a my z tyłu. Gdy się przybliżył sam książę, huknęliśmy wszyscy razem: *Niech żyje nasz książę, ozdoba prowincyi Litewskiej!* i wszyscyśmy pozsiadali z koni, ażeby go powitać. Sędzia z mową wystąpił, aż książę do łez się rozczulił, powtarzając po kilkakrotnie:—Panie kochanku, czy ja wart, żebyście mnie tak przyjmowali — a pomimo nalegań sędziego, wysiadł sam, nie uważając że śnieg. Witał nas każdego chrzestnem imieniem zowiąc. Więcej godziny witania trwały, aż nacałowawszy się i naściskawszy się z bracią szlachtą, książę krzyknął na koniuszego swego, żeby konia wierzchowego podał. A że sędzia nalegał, aby w saniach jechał jak wprzódy, zniecierpliwił się i rzekł: — Taki waćpan przyjaciel, panie Ignacy, kiedy szlachta na koniu, chcesz żeby Radziwiłł na wozie siedział jak żyd—i lubo był otyły, skoczył na konia jak za dobrych czasów, i zażył go, jakby żadnemu z nas lepiej się nie udało. Potem stępo wedle powagi swojej ciągnął do Omniewicz, ustawicznie coś prawiąc sędziemu i jego otaczającym. Przykro mi było, żem był opodal, bo radbym wszystkiemu się przysłu-

chał, ile że co tylko nasz książę powiedział, warte było być rytem na kamieniu. Książę był wzrostu słusznego, otyły: głowa ogromnej wielkości i tak ogolona, że na wierzchu kilka włosów tylko zostawało; wąs duży i zawiesisty, który głaskał gdy był wesoły, a zakręcał do góry, kiedy bywał markotny lub poruszony; płeć biała jak u kobiety, nos długi, oczy jasno-błękitne duże, najczęściej pełne wesołości. W ochędóstwie wykwintny, bo zawsze przynajmniej dwa razy na dzień bieliznę odmieniał; a był ubrany dnia tego w mundurze ulubionym województwa Wileńskiego, to jest: kontusz granatowy kusy, podszewka, żupan i wyłogi amarantowe, pas srebrny w amarantowe kwiateczki, szabla w jaszczur oprawna, buty żółte ze srebrnemi podkówkami; na tem wszystkiem płaszcz z grubego sukna szarego, kuczbajem podszyty, a po wierzchu zarzucona burka, spięta pod szyją srebrnym radziwiłłowskim orłem. Nosił jeszcze wielkie szarawary płócienne, oskurem wyżej pasa związane, a to, żeby kontusza w podróży nie brukać. Do tego czapeczka karmazynowa, czarnym barankiem okolona, kitajką bez waty podszyta; kładł ją na bakier na samym wierzchu głowy, ucha nie dotykając, chociaż mróz był dobry. Na bucie berlacz sukienny, rękawiczek nie znał, lubo znaczną część zimy pod gołem niebem przepędzał łowami zajęty. Miał dowcip bystry, łatwo obejmował rzeczy, z historyą narodu był obeznany; a nie tylko że znał doskonale proce-

dencyę i powinowactwa swojego domu, ale nawet i domów szlacheckich. Szlachcica najuboższego, byle karmazynowego, uważał być sobie równym i obcował z nim poufale. Do ludzi podejrzanego szlachectwa, jako neofitów i Niemców, czuł wstręt i do siebie przystępu im nie dawał. Z prawem krajowem był dobrze obeznany, a przewodząc po dwakroć trybunałowi Litewskiemu, w tem urzędowaniu okazał się czynnym, umiarkowanym, i w zdaniu raz przyjętem niezachwianym. Na obradach publicznych mawiał często, zawsze nieprzygotowany, a zawsze do przekonania. W obcowaniu pełen konceptów, a lubiąc z drugich żartować, nigdy się sam nie obrażał, kiedy się mu kto odcinał. Pan dobry i kochający sługi jak dzieci; to też i oni za niego ubićby się dali. A choć był porywczy, że dobre miał serce, byle czem dawał się ubłagać; nie tak, jak jego stryj książę chorąży, co po lat kilkanaście trzymał w łańcuchach wykraczające sługi. Kiedy szlachcic u księcia wojewody służbę dostał, mógł być spokojnym o los swych dzieci. Dla kobiet był tak grzecznym, że każdą z uszanowaniem w rękę całował, choćby żonę dyspozytora, byle szlachciankę. Obserwował pilnie przepisy religijne; codzień z szatnym śpiewał Godzinki Niepokalanego Poczęcia, sobotę suszył, a w wielki piątek nawet dyscypliną się chłostał; za co też wielkich od Boga do-

świadczał błogosławieństw. Pił dużo, i nie łatwo było dotrzymać mu placu. Jednemu tylko Leonowi Borowskiemu nie mógł dać rady; ten zawsze go zwyciężał kielichem; ale z pomiędzy sług i przyjaciół on był jeden, co tego dokazał. Kiedy się kawalkata już do omniewiczowskiego dworu zbliżała, sędzia puścił konia w cwał, żeby księcia przed domem przyjąć; jakoż jego i niektórych gości zastaliśmy przy ganku. Sędzina i wszystkie damy wyszły także na spotkanie gościa. Książę, zsiadłszy z konia i po kilkakrotnie ucałowawszy znowu gospodarza, wszystkie kobiety, zacząwszy od gospodyni, w rękę pocałował; dostało się i mojej Magdusi. Potem wszedłszy do pokoju, a obaczywszy Wawrzyńca:—Jak się masz waszeć, kumie — powiedział mu. — W istocie przed trzema laty chłopca mu do do chrztu trzymał. Wawrzyniec jak długi padł księciu do nóg i rozbeczał się. Książę podniósłszy go, zaczął łaskawie pytać o żonę i o dziecko, a kazawszy sekretarzowi swemu Mikuciowi odliczyć mu sto złotych, dodał:—Zanieś to odemnie twojej żonie.—Wawrzyniec ledwo nie oszalał i cały dzień chodził nabuńczuczony jak indyk.

Książę był ciągle w przedziwnym sosie, animował do kielicha, tak, że sędzia aż płakał z rozrzewnienia. Między inne zdrowia książę sam wniósł prześwietnej palestry, i każdemu z nas jakąś grzeczność powiedział; a gdy ja z innymi przybliży-

łem się do niego, rzekł: — Sewerynie kolego, wasze był kiedyś *de hajda*, a teraz *de jure*; kiedyś to my nieprzyjacielskie łby płatali a teraz nieprzyjacielskie lampy. Ja mu padłem do nóg.— Niech książę pan tylko piśnie, dobre czasy nam wrócą, a pan stolnik Litewski pójdzie fora ze dwora! — Książę wąsa do góry pokręcił, bo już był przyrzekł królowi więcej nigdy na niego konfederacyi nie podnosić, i mawiał często:—Robiło się co można, ale teraz kto kocha kraj swój, niech wiary królowi dochowa; Panie kochanku, lepszy rydz jak nic.

Wśród zabawy było się trochę zachmurzyło z następnej przyczyny: JW. Jeleński kasztelan Nowogrodzki, przed kilkoma niedzielami, jako członek nadwornych sądów, był zjechał do Nieświeża na kommisyę księcia z kahałem nieświeżskim, i zakończył interes zapewne sprawiedliwie, a przynajmniej wedle przekonania; ale książę jego nie lubił, bo w czasie bezkrólewia był z małej liczby Litwinów, adherentów partyi księciu przeciwnej, która go prześladowała, za co z łaski króla otrzymał wysokie w prowincyi naszej krzesło. Książę więc przy kielichu spominając o świeżo odbytej komisyi, powiedział mu:—Powiedz prawdę, Panie kochanku, wiele *rebochem* wziąłeś od żydów?—Na to silnie się obruszył kasztelan, i pomimo prośb gospodarza chciał natychmiast wyjechać, ale książę, widząc

frasunek sędziego, ułagodził kasztelana mówiąc:— Panie kolego, odpuść mnie to, co żartem powiedziałem — i na tem poprzestał kasztelan. Czy konfidencya księcia mogła kogo obrażać? My też wszyscy zrozumieli, że jeśli książę niby się uniżył, więcej to uczynił dla sędziego, niż dla niego samego. Z tego powodu niedługo potem na ustępie wyszturchaliśmy porządnie pana Adamowicza, plenipotenta kasztelana, który po swojemu o tem zdarzeniu rozpowiadał z krzywdą księcia, ale jako o słyszanej rzeczy, bo on z nami w Omniewiczach nie był. Skutkiem tego wypadku kilkunastu nas jurystów pozwano na takty, a na mnie się zmleło. Bo gdy wizya odkryła, że Adamowiczowi część czupryny wyrwano, zarzucił mi, iż te włosy w mojem ręku zostały; nie śmiałem odprzysiądz się, lubom tego nie pamiętał, bo w zapale być to mogło; skazany więc zostałem na sześć niedziel wieży i zapłacenie tysiąca grzywien. Grzywny chorąży Rdultowski za mnie zapłacił, a wieżę musiałem odsiedzieć alem tego nie żałował. Książę pan, pamiętny, żem cierpiał za jego sławę, kazał mi wypuścić Doktorowicze, ale tak, że gdyby człowiek nie chciał, to majątek sam z siebieby się zrobił. To też przy łasce księcia Jmci (niech go Bóg błogosławi na wieku), a przy pomocy Boskiej, z tego się zrobiło wszystko, co jest. Co się zaś tyczy JW. kasztelana, przeprosiny księcia dały mu się we znaki; bo książę na ich dopeł-

nienie z całym swoim dworem pojechał do Dunajczyc, rezydencyi kasztelana, który będąc wielce oszczędnym, niemało w duchu się nafrasował, że trzeba było przez dni kilka okazałego i licznego gościa swoim chlebem przyjmować, a rad nie rad musiał się okazywać wesołym. Ja z boku słyszałem, że ta wizyta kosztowała go do trzydziestu tysięcy, bo był pysznym i chciał po pańsku wystąpić. Dobrze tedy opłacił swoję obrażliwość, a nie było kogo żałować, bo był bezdzietny, i oprócz porządnego spadku, miał kilka intratnych królewszczyzn.

Tak więc, gdy chmura rozpędzona została, już nic zabawom naszym nie przeszkadzało, i owszem z powodu zgody, jeszcze gęściej kielichy krążyły; nawet przy końcu wzięli się do kijów szklannych. Był to w dawnym obyczaju najwyższy stopień podochocenia. Kij szklanny był dęty; gdy napełniwszy go winem przykładano do ust, trzeba było wypróżnić jednym tchem; inaczej pijący został obryzgany, a za karę wlewano mu za kołnierz kielich wody. Wszyscy popiliśmy się okropnie, gospodarza bez przytomności wynieśli. Książę jeden został przytomny, a nie mając już z kim pić, na znak zwycięztwa jeszcze kielich wypił do Wawrzyńca, i jemu go oddał napełniwszy swoją ręką; o własnej sile poszedł do sędzinej, z nią zmówił Litanię do Najświętszej Panny; to wszystko odbywszy, zjadł ogromną misę kapusty kwaszonej i spać się położył, zdrów jak gdyby nic nie pił.

Nazajutrz, w ostatni wtorek, był z rana obrządek solenny dla gospodarstwa i ich przyjaciół: zaręczyny pana Symeona Mogilnickiego, cześnikowicza Nowogrodzkiego, z panną Agnieszką Haciską, rodzoną siostrzenicą sędziego, a w jego opiece będącą. Jej ojciec, chorąży pancerny, szanowny obywatel, miał piękne dziedzictwo, ale w czasie konfederacyi Barskiej znacznie je odłużył, swoim kosztem sztyftując chorągiew, na czele której pod Sochaczewem poległ. Majątek jego okropnie spustoszony został, zgoła, że prawie bez sposobu zostawił żonę z czworgiem drobnych dziatek, a i ta niedługo płacząc, złączyła się z godnym małżonkiem, polecając biedne sieroty pieczy brata swojego, co lubo młody, już najsędziwszych posiadał szacunek. Jakoż się nie zawiodła, bo pewnie o własnych dzieci dobro sędzia więcejby się nie troszczył, jak o siostrzanów. On to posag ich matki wydźwignął, gdyż cały ojczysty majątek poszedł na satysfakcyę wierzycieli; nawet kilkanaście tysięcy spadłych długów, własnym funduszem zaspokoił, ażeby duszę szwagra oczyścić, a jego dzieciom dać wychowanie przystojne. Starszy syn, wyćwiczywszy się w palestrze, został rejentem grodzkim Nowogrodzkim; młodszy był pokojowym u księcia wojewody. Starsza córka Katarzyna, lubo trochę ułomna, wielkie szczęście miała do ludzi. Niejeden majętny kawaler o jej przyjaźń się starał, ale ona najlepszemi

postanowieniami wzgardziwszy, Bogu czystość ofiarowała. Sam byłem na jej obłoczynach w klasztorze panien Benedyktynek Nieświeżskich, Sędzia chciał być na nich jako wuj, ale nie mógł dotrwać do końca; bo lubo nie sprzeciwiał się powołaniu Boskiemu, tak go czułość za serce ścisnęła, że aż musiano go wyprowadzić z kościoła. Najmłodsza była panna Agnieszka, dopiero siedemnaście lat mająca, której zaręczyny z W. cześnikowiczem się odbywały. Z rana, gdy się wszyscy zebrali, pan cześnik Mogilnicki oświadczył, iż widząc przywiązanie syna do panny chorążanki, a przekonany będąc, że z nią dożywotni związek największe mu szczęście zapewni, tak z powodu cnót i wychowania chorążanki, jakoteż koligacyi z zacnym w województwie domem; więc dla syna o jej rękę prosi W. sędziego, jako drugiego ojca, a razem księcia wojewodę o wstawienie się, aby raczył wesprzeć dobrem słowem tę prośbę sługi swego. Nie można było bardziej uradować księcia, bo co najlepiej lubił, to kojarzyć małżeństwa. To też natychmiast wstał, i w pół ścisnąwszy sędziego, rzekł:— Panie Ignacy, wybornie się zdarza dla Jagusi; Mogilnickich dobra krew, niech się przyjaciele Radziwiłła łączą. Zezwól, a prędko: bo jak zaskoczy popielec, na czterdzieści dni klamka zapadnie. — Ojciec i syn ucałowali kolana JO. swáta za wstawienie się

łaskawe; a gdy pan sędzia oświadczył, że i on i żona za zaszczyt poczytują sobie, iż tak zacny obywatel, jak W. cześnik, szuka w ich domu szczęścia dla syna swojego, i w nadziei, że Jagusia wstrętu do tego nie czuje, chętnie błogosławieństwo swoje jako wuj i opiekun daje. Pan cześnikowicz jak długi padł mu do nóg, i toż samo sędzinej. Książę wziął za ręce chorążankę, która drżała jak liść osiny, i zapytał ją: —czy zgadza się z wolą wujaszka iść za cześnikowicza?—Chorążanka w płomieniach ustami ruszyła, ale nie można było nic usłyszeć. Książę: — Głośniej Jagusiu—a ta jeszcze więcej się zmięszała. Książę tedy: — No, kiedy się tak wstydzisz, powiedz mi na ucho; ja powtórzę głośno, a mnie uwierzą — i wziąwszy ją w pół, ucho do jej ust przyłożył. Po niejakim czasie odważyła się coś szepnąć księciu, dopiero książę wyrzekł: „zezwala“. Biedna chorążanka ledwo że nie zemdlała, kiedy cześnikowicz padł jej do nóg. Zaczęto mówić o postanowieniu państwa młodych, a chorążanka wysunęła się z pokoju. Pan cześnik oświadczył, iż z dwóch wiosek które posiadał, jednę spuszcza synowi. — Co do mojej siostrzanki — rzekł sędzia — jej posag aktom wiadomy; ma ona swoich dwadzieścia pięć tysięcy złotych, które po zapisaniu ewikcyi panu cześnikowi wręczone zostaną; a ja z afektu wujowskiego wyprawę sprawuję. — Wtenczas książę odezwał się: — Na co pan Karol ma ewikcyą obciążać swój majątek? Ja summę przyjmuję, a w pro-

cencie wieś przyszłej cześnikowiczowej wypuszczę. —

Wszyscy się pokornie skłonili; książę powiedział panu Mikuciowi, że jednę ze wsi, które są do wypuszczenia, wypuszcza w zastaw pannie Agnieszce Haciskiej, a jej posag do siebie przyjmuje, i dodał: — Niech inwentarz będzie przyjacielski. — Pan Mikuć podał regestr folwarków do puszczenia będących (który to regestr zwykle przy sobie nosił), a gdy pan cześnik wybrał Borewicze, folwark w Słuczyźnie trzydzieści chłopa mający, książę powiedział: — Jaki addytament roczny będzie się należał do mego skarbu, połowę z niego daruję Jagusi, aż do czasu wykupna Borewicz. — Po najpokorniejszych dziękach, pan sędzia wyrzekł: — Wasza książęca mość, i wy szanowni goście, raczcie mi pozwolić, abym w ich przytomności sam intercyzę pisał. Rad jestem to własnoręczne moje pismo na pamiątkę mojej Jagusi zostawić, a wziąwszy pióro, od razu zaczął pisać tranzakcyę, wedle zwyczaju poczynającą się od procedencyi państwa młodych. Dziwną łatwość miał sędzia do napisania; nic go rozerwać nie mogło; nieraz pisząc do dyskursu się mięszał, a omyłki nie zrobił. Wszystkie prawa z pamięci przytaczał, i dość obszerną intercyzę w pół godziny skończył. Po głośnem jej przeczytaniu, a przez strony podpisaniu, nowy kłopot dla chorążanki. Sędzina wyprowadziła ją z garderoby; trzeba jej było z narzeczonym zamienić pierścionki, klę-

knąć z nim przed wujowstwem i ojcem, dla przyjęcia błogosławieństwa, a potem przed księciem z intercyzą w ręku, by podziękować mu za szczodrotę i prosić go o podpisanie się za świadka: co JO. książe uczynił, naprześladowawszy chorążankę żarcikami. Podpisał się także kasztelan Jeleński i chorąży Rdułtowski. Nie codzień czyta się taka intercyza; bo mieścił się w niej porządny kawał chleba, a zdobiły ją mitry, krzesła i ordery. Zaręczyny się odbyły, a ślub naznaczony został na Wniebowstąpienie Pańskie, z woli sędziney pomimo licznych prośb, aby go przyśpieszyć, a to z powodu, iż w dniu tym z mężem przyjęła błogosławieństwo. Ucałowawszy rękę męża, rzekła: — Dzień to szczęśliwy, mój Ignasiu. Już zbliża się rok szesnasty, jak z sobą mieszkamy, a momentu smutku nie doświadczyłam. — Sędzia rzucił się w jej objęcia i rozpłakał się, my wszyscy się rozrzewnili, i księciu wojewodzie kilka łez na wąs upadło. Jeszcześmy nie odeszli z rozczulenia naszego, gdy pora obiadowa złączyła nas wszystkich za stołem. Już sama wesołość panowała. Pierwsze zdrowie było przyszłego szczęścia państwa młodych; piliśmy także: „niech żyją połączone domy“, a gdy przyszło do pląsów, którym książę dał hasło w pierwszą parę wziąwszy pannę chorążankę, i coraz lepsza ochota nas zagrzewała, piliśmy z trzewika panny Agnieszki, piliśmy także z bóta księcia wojewody, i naprzemian szły tańce, mazurki, krakowiaki, przeplatane kielichami. Do-

piero w samą północ, na zakończenie zapust, książę wziąwszy panią sędzinę, a każdy z nas damę swoję, poszliśmy drabanta, po którym muzyka się rozeszła, a zwykłym natenczas obyczajem, ksiądz gwardyan Bernardyn miał do nas egzortę.

Ostrzegłszy on nas, że o zabawach trzeba zapomnieć, bo nadszedł czas pokuty i postu, zaprosił wszystkich do modlitw. Słudzy zaczęli wypuszczać z klatek wróble, a my z księdzem zaczęliśmy śpiewać *Gorzkie żale*, aż ściany się trzęsły. Donośne głosy księcia wojewody i ojca gwardyana nad naszemi wszystkiemi się unosiły. W kilka godzin udaliśmy się z gwardyanem do cerkwi niedaleko dworu będącej. Tam ojciec gwardyan miał mszę o czwartej z rana; sędzia służył mu do mszy. Kiedy przyszło do tych słów: *cum jejunatis, nolite fieri sicut Pharisei*, wszyscyśmy do pół szabli z pochew wydobyli, głowy czapkami nakrywszy, a to na znak, iż gotowi jesteśmy orężem walczyć za święte słowa Zbawiciela naszego. Po skończonej mszy, książę wojewoda z JW. kasztelanem Jeleńskim, po nich stan rycerski, urzędnicy wprzódy, dalej my szlachta, potem słudzy, ordynkiem po dwóch przystępowali do ołtarza dla przyjęcia popielcu; dopiero po nas kobiety. Kiedyśmy wrócili do dworu, to już było około szóstej z rana. Jak w pierwszy dzień postu, bez żadnego posiłku poszliśmy spoczywać kilka godzin, aż zebraliśmy się w sali obiednej. Siedliśmy do postnego obiadu, wszystko było

na oleju: ale część gości i sami gospodarstwo, mając zwyczaj dzień popielcowy suszyć, grzankami się tylko posilali. Gdyśmy spostrzegli, że książę wojewoda także się od innych pokarmów wstrzymuje, zbudowani pięknym przykładem, nie odważaliśmy się dogadzać żołądkowi; a choć tem małem umartwieniem, każdy rad był przysłużyć się Zbawicielowi swojemu. W dniu tym wina nie było widać u stołu, tylko miód i piwo. Po obiedzie wszyscy rozjechali się. Ja z moją Magdusią puściliśmy się do Nowogródka, gdzie dość późno stanęliśmy w naszym dworku.

VIII.

Książę Radziwiłł

Panie Kochanku.

Rok 1781 był pamiętny dla Nowogródka; w tym roku bowiem był sejmik bardzo forsowny; kilka tysięcy szlachty zjechało się na wybory pisarza ziemskiego. Po śmierci pana Tadeusza Danejki, książę wojewoda Wileński prowadził pana Rejtana, a że zwykle u nas wybory były jednomyślne, nikomu przez myśl nie przeszło, ażeby ktokolwiek mógł z nim o ten urząd emulować. Przecież zrobiło się inaczej. Przykro było JW. Niesiołowskiemu i JW. Jeleńskiemu, jednemu wojewodzie, drugiemu kasztelanowi Nowogrodzkim, że najmniejszych wpływów w sejmikach

swojego województwa nie mieli, i że dla zachowania jakiejś powagi, radzi nieradzi, musieli się księciu Radziwiłłowi kłaniać. A że Rejtany z licznymi swoimi kolligatami rej wodzili w partyi radziwiłłowskiej, usiłując JW. Niesiołowski ją rozdwoić, namówił pana Kazimierza Haraburdę, męża rodzonej siostry Rejtanów, aby oświadczył się o ten urząd dla siebie, co niemało zgorszenia przyniosło województwu, okazując szwagrów zawziętych, jeden drugiemu szkodzących. Starali się obu stron przyjaciele namówić pana Haraburdę, ażeby tej krzywdy szwagrowi nie robił, kiedy już tamtego po kilkakrotnie pito zdrowie, jako przyszłego pisarza; że on sam z początku nie był mu przeciwnym, że ta braci niezgoda wszystkich gorszy, a na koniec, że nie ma podobieństwa ażeby przeciw panu Michałowi się utrzymał. Wszelka usilność była daremną; gdy obywatele zjechali się w Nowogródku do klasztoru Bernardyńskiego na Porcyunkułę, a między niemi znajdowali się obaj szwagrowie, tam starano się ich pojednać; ale jak zaczął pan Haraburda wyrzucać szwagrowi, to że go ukrzywdził w wypłacie posagu, to że prawa nie zna i że jemu przystoi nad kartami siedzieć, a nie mozolić się nad dokumentami, to że choć pan Michał zausznikiem nieświeżskim, on nie traci nadziei w swoich nikomu niepodległych przyjaciołach, pan Michał porwał się do szabli, i gdyby Bernardyni

nie byli wyprowadzili pana Haraburdę, podczas gdy pana Michała mitygowała szlachta, refektarz zostałby skrwawiony. Już tedy nie było podobieństwa ich pogodzić, a czas sejmikowania nadchodził; właśnie wypadła okoliczność, z której JW. wojewoda Nowogrodzki wielką sobie robił nadzieję, i która omal nie przyczyniła się do uczynienia twardym pana Haraburdę. A to był postępek księcia wojewody Wileńskiego, z wielmożnym Józefatem Tryzną, strukczaszym nowogrodzkim, który to postępek wielu gorliwych przyjaciół radziwiłłowskich oburzył, z czego zręcznie umiała korzystać partya księciu Radziwiłłowi przeciwna. Tryzna był ubogim, ale ostatnim potomkiem starożytnego domu, z radziwiłłowskim nawet skoligaconego. Wszakże to Naliboki przez Tryzniankę w dom radziwiłłowski weszły, a większa część funduszów klasztoru żurowieckiego była darem Tryzny, antenata strukczaszego. W kantyczkach żurowieckich jest o nim wzmianka: *Któż nie przyzna, że pan Tryzna, był mąż świętobliwy etc.* Otóż pan strukczaszy, prócz summy zastawnej na Radziwiłłowskim Kołdyczewie nic nie miał; zastawa była jak może być najtańszą, i kto inny mógłby z niej na szerokie wyleźć dziedzictwo; ale pana Tryzny pieniądz się nie trzymał. (Maciek zarobił, Maciek zjadł), a często więcej zjadł jak zarobił. Już to tam i moich parę tysięcy na tamten świat z sobą zaniósł; ale na ostatnim sądzie pewnie upominać się nie będę, bo z nim

i beczkę soli zjadłem i więcej niż beczkę wina wypiłem. Że on nie miał prócz jedynaczki córki żadnego potomstwa, że na nim dom się kończył, a że panna z urodą i tak dobrego gniazda nie potrzebowała posagu, aby się w dobrem małżeństwie ułożyć, jakoż później za bardzo możnego Witebszczanina Syrucia starostę Czuchłowskiego wyszła; więc poniekąd był wymówionym nasz strukczaszy, że się na przyszłość nie oglądał. Pan Tryzna był ludzki, wesoły, ale czasem popędliwy. Razu jednego, w same żniwa, książę wojewoda Wileński nie uprzedziwszy go, właśnie jak piorun wpadł z licznem myśliwstwem, aby spolować lasy kołdyczewskie. Pan Tryzna dawał rozporządzenia podstarościemu, by żniwiarzy naglił do roboty, i sam się w pole wybierał, kiedy wpadli dojeżdżacze księcia, wymagając, by natychmiast obławę do lasu posłał; a że to byli ludzie prości i nieroztropni, jakoś tam cierpko dopominali się u niego, iż go zniecierpliwili. Odmówił im ludzi, ofuknął ich, i miał niby powiedzieć wedle ich relacyi: że kto w czasie żniwa poluje, temu piątej klepki nie dostaje. Jak wrócili dojeżdżacze, a ich relacya zaczęła biedz po szczeblach dworskich, a ciągle rosnąć, ile, że pan Mikuć sekretarz księcia miał żal do pana Tryzny, z powodu, iż konkurując o jego córkę, w jego domu był traktowany harbuzem, więc dogadzając zemście, udał go przed księciem. Książę tak mocno to uczuł, że jak mnie twierdzili przytomni, przez kilka *Zdrowaś Marya* mo-

wa mu była odjętą, a potem jak zaczął ryczeć, to się lasy kołdyczowskie zatrzęsły. W niepohamowanym popędzie rozkazał natychmiast odebrać posłuszeństwo panu Tryznie i wypędzić go z majątku. To się natychmiast dopełniło, nawet z nieludzkością, bo aż lękając się o skórę pan Tryzna uciekł z tem tylko co miał na sobie; to jeszcze szczęście, że wielmożna strukczaszyna z córką były wyjechały na odpust do Pińska. Zgoła, że piechotą gospodarz umknął, i aż w okolicy Rajców się oparł, a ztamtąd dostawszy podwodę udał się do Nowogródka, gdzie manifest zaniósł przed grodem, a razem i pozew po księcia o irrytacyę kontraktu i ekspulsyę.

Kiedy przyszło do sprawy, musiałem attentować od księcia i przed strukczaszym samym łzami się zalałem, błagając go, że tak powiem, aby mnie odpuścił, że z obowiązku muszę o jego krzywdę się starać, bo znałem dobrze, że nasza sprawa była nic potem, ale cóż? czyj się chleb je, tego bronić trzeba. Jakoż pan strukczaszy nie miał mi tego za złe, i gdy się wszystko skończyło, nie przestał mnie zaszczycać swoją przyjaźnią, a może i podwoił dla mnie szacunku, widząc, jak dla wywiązania się mojemu panu i dobroczyńcy, z własnego przekonania czyniłem ofiarę. A i przekonaniu umiałem zadość uczynić; bo przytomny będąc konferencyi poprzedzającej kroki prawne, odezwałem się przed wielmożnym Radziszew-

skim chorążym Starodubowskim, a generalnym księcia plenipotentem, że niewiele mam ufności w prawności naszej; jeno on mnie zaraz zwrócił na drogę, mówiąc: — Waćpana rzecz attentować i bronić sprawy księcia, a nie jej przyganić, i na to jesteś płatny; a tem mnie zamknął gębę. Kiedy przyszło do sprawy, nam o to szło, aby ją wprowadzić do ziemstwa, bo gród nowogrodzki był juryzdykcyą wojewody, który w nim przez swoich subdelegatów sądził, a jakie takie nadzieje mogliśmy mieć w ziemstwie. Ale nie było sposobu wyrwać ją z grodu, gdyż do niego poszły pozwy powodowe; nakoniec sprawa ekspulsyjna, uczynkowa, w samej rzeczy do juryzdykcyi grodzkiej należy, i lubom stawał na tem, że już z naszej strony została podana illacya do trybunału *pro determinatione fori*, nie zważając na to sąd grodzki, kazał sprawę wprowadzić. Jam odstąpił, a pan strukczaszy zyskał na księciu Radziwille kondemnatę. Ale cóż?.. cieszył się kondemnatą nieborak na bruku osadzony, a książę jak zajął Kołdyczew, tak go trzymał. Na następnej kadencyi, widząc że nie ma sposobów utrzymania się w zaprzeczeniu *forum*, innego skoku próbowałem. Chcąc zerwać komplet, podałem obmowę na jednego z członków sądu, zadając mu iż jest krewnym strony powodowej. Pokrewieństwo było dalekie, bo pan Kajetan Uzłowski sędzia grodzki, na którego podałem obmowę, miał żonę Ancutównę, a nieboszczka krajczyna Tryznina, macocha

strukczaszego, *primo voto* była za Ancutą. Jednak takowa obmowa była dostateczną dla zerwania kompletu, bo pan sędzia oświadczył: że ponieważ książę wojewoda w nim ufności nie ma, a obok tego nie wypiera się zaszczytu koligacyi jemu zarzuconej, więc sądzić nie będzie, i ustąpił ze swojego miejsca; a że już kompletu nie było, sprawa poszła w *non sunt* i kadencya spełzła. Było trochę krzyku za to na sędziego, i strukczaszy mu na ustępie wymówił, że dlatego uchylił się, bo sędzina chce być na św. Karol w Nieświeżu, ażeby córki produkować. Mówiono także, że pan Leon Borowski ofiarował mu za to szubę rysią; ale pokazało się później, że to była potwarz.

Aż tu nadszedł sejmik na pisarstwo ziemskie, na który książę wojewoda wedle zwyczaju swego zjechał tem więcej, że chciał utrzymać pana Michała Rejtana, co był Radziwiłłowskim duszą i ciałem. Zjechał książę w kilkanaście pojazdów do klasztoru Bernardyńskiego, którego był syndykiem, i całkowity swoim dworem zajął, oprócz kilku cel, w których jak mogli cisnęli się zakonnicy; bo oprócz księcia, pokotem leżał pan Michał Rejtan, Bukowski szatny, i ojciec Idzi, co był wielkim egzorcystą; a że książę złych duchów się obawiał, wymówił sobie, aby w celi blizko niego spał, i do tego Nepta, ogromna wyżlica, faworyta księcia. Opowiadał nam pan Rejtan, że przez cały czas sejmiku oka nie zmrużył, takie okropne by-

ły chrapania księcia, ojca Idziego i Nepty. Szlachta okoliczna, co za księciem piechotą przyszła, spała na dziedzińcu klasztornym, na którym stało kilkadziesiąt fur z krupami, mąką, słoniną i gorzałką; ciągle kurzyły się kotły na dziedzińcu, a w rzeźni codzień dla księcia dwa woły rznięto. Książę dwa razy na dzień obiadował; raz ze szlachtą okoliczną z kotła zajadał krupnik i flaki; a potem w refektarzu z obywatelami, których u siebie częstował, albo u jakiego urzędnika do którego się zaprosił.

Pan Michał, coby rad widział koniec interesu z Tryzną, bo szlachta taki na to krzyczała, a sam nie śmiał przed księciem z tem się odezwać; namówił ojca Idziego, aby przy pomyślnej okoliczności jakoś bąknął księciu, aby się dał przekonać i był sprawiedliwym dla pana Tryzny. Jakoż się wziął do tego Bernardyn, i to co napiszę, jest słowo w słowo, tak jak pan Bukowski szatny opowiedział, będący naocznym wszystkiego świadkiem. — Po odbytych pacierzach, gdy się wszyscy pokładli i czas niejaki panowało milczenie, książę odezwał się: — Ojcze Idzi, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. — Na wieki wieków; co książę rozkaże? — Czy nie słyszysz waszeć, jak moja Nepta warczy? zapewne nieboszczyk Wołodkowicz mnie nawiedza. — Na to pan Michał Rejtan przeżegnawszy się: — Co też się marzy waszej książęcej mości? ludzie się

szastają po korytarzu, a Nepta warczy na nich, już zaraz ma być pan Wołodkowicz! — Milczałbyś, panie kochanku; że umiesz grać we francuskie karty, to już siebie masz za mędrka. Ja nie do waści mówię, ale do ojca Idziego. — Ojcze Idzi, wszak prawda, że dusze z Czyśćca wychodzą, aby krewnych i przyjaciół o ratunek prosić; żeby temu przeczyć, trzeba być księciem biskupem Ignacym, albo Marcinem Lutrem. — Tak jest JO. książę, bywa to, bywa.—Słyszysz, panie Michale? aż miło spać z teologiem, bo i oświeci i uspokoi. — Ojcze Idzi, zawsze nieboszczyk Wołodkowicz stoi mi w oczach; co to był za przyjaciel! gdybym go mógł wskrzesić, oddałbym co mam, a sam do was na braciszka bym wstąpił. Za życia nieboszczyka księcia najechałem po pijanemu pana Piotra Kotwicza i dom mu podpaliłem. Pan Kotwicz na mnie namalował sto tysięcy pretensyi, i kazał mi oświadczyć, że jeżeli mu ich nie odliczę, to mnie zapozwie. Ja byłem goły, bo nieboszczyk książę był skąpy, a do tego tak groźny, że raz kazał mi dać pięćdziesiąt batogów, chociaż już byłem miecznikiem Litewskim i orderowym panem; a jakby się o takim zbytku dowiedział, możeby mnie był ubił batogami. Co tu było robić? A mój Wołodkowicz dwa folwarki swoje własne zastawił i zagodził Kotwicza. (Tu słychać było jak książę zaszlochał.) I czy to raz za mnie się poświęcił? Kiedyś to mnie, jakby prze-

czuwał, że niedługo będziem z sobą, powiedział: — Książę Karolu, ty dłużej odemnie żyć będziesz; jak umrę, pamiętaj o mojej duszy. — Otóż kiedy partya, którą ten łotr, ten szuler Ignacy prowadził, podstępem i zdradą porwała Wołodkowicza, a potem rozstrzelała go tu w Nowogródku, gdzie tego samego wieczora przybyłem, ale zapóźno, przysiągłem pomścić jego krwi na głowie niegodziwca, i chciałem ruszyć do Wilna, aby mu podziękować na pierwszej sosnie za miastem. Już szedłem ku Wilnu, ale na pierwszym noclegu we śnie pierwszy raz pokazał mi się Wołodkowicz, prosząc mnie za łotrem, i wyraźnie mi powiedział: że jak go powieszą, to memu Wołodkowiczowi będzie gorzej na tamtym świecie. — Ojcze Idzi, wszak prawda, że on dotąd w Czyśćcu? — A któż to przeniknie Sądy Boże, książę panie? I sprawiedliwość, i miłosierdzie wielkie u Niego. To tylko wiemy, że jak się dusza rozstanie z ciałem, Bóg natychmiast ją odseła do Nieba, albo do Czyśćca, albo do piekła — uchowaj nas od tego Jego miłosierdzie. — Jużci Wołodkowicz do piekła nie poszedł, panie kochanku? Daj Boże wam wszystkim zakonnikom być tak gorliwymi jak on w wierze. To co ja, ojcze Idzi, za spoczynek duszy Wołodkowicza robiłem, toby wystarczyło aby całkowity Czyściec wypróżnić. Grzebałem na Wołoszczy-

żnie trupy z dżumy poległe, własnemi rękami, na jego intencyę, a rocznicę jego śmierci suszę. Wieś dałem dominikanom Wołkowyskim, u których groby Wołodkowiczów; a co mszy, egzekwii, jałmużn, lamp; to tego i pan Michał Rejtan, choć wielki rachmistrz, nie policzy; a jednak dusza jego nie przestaje mnie nawiedzać. Moja Nepta tak jego zna, że jak się zbliży, odzywa się na niego jak na grubą zwierzynę. Oj ze Idzi. daj mi na to radę, a ja za to wasz klasztor gdańską dachówką pokryję. — Niech Bóg odpłaci waszej książęcej mości jego wspaniałość dla nas; każdy dar jest Panu Bogu miły, ale im większa ofiara tem skuteczniejsza. Niech książę pan zrobi, na intencyę nieboszczyka, jaką ofiarę z gniewu; naprzykład: niech poda rękę takiemu, co go obraził, a tem najlepiej uwolnisz duszę przyjaciela. — Otóż już do mnie waszeć mówisz językiem księdza Kantembrynga, co całe życie u mnie za lada sprawami patronuje. Tamtego tygodnia najlepsza moja charcica, wiatrówka, zdechła z niepilności Grzesia psiarza; kazałem go był zakuć w łańcuchy; po sprawiedliwemu warto było ze skóry go obedrzeć, a ksiądz Kantembryng, jak zaczął mi prawić antyfony, a prosić, a straszyć, a kruszyć; a dyabli mi nadali, że ktoś mnie wmówił, że on wielki teolog; to choć powiedziałem: nie odpusz-

czę, jakem Radziwiłł — tyle mi nadokuczał, że puściłem chłopca bezkarnie. Ale przynajmniej dobrze złajałem księdza Kantembrynga; onby rad, żeby mnie we własnym domu rozbijali. To już i waszeć tą drogą zachodzisz? To już i bernardyni filutują jak jezuici? Tylko tego przed księdzem Kantembryngiem nie paplaj; ale szczęście, że u mnie furdynga pusta, i na nikogo się nie gniewam. — Jabym się odezwał z czemś, ale nie śmiem. — Mów śmiało, mów śmiało, ojcze Idzi; wszak na swoim dziedzińcu i wióry biją, a ja u was na gościnie; mnie o waszą łaskę, nie wam o moję dbać, a potem swemu syndykowi trzeba prawdę mówić. — Kiedy mnie książę pan pozwala tyle śmiałości, to niech wasza książęca mość sobie przypomni, czy kogo nie ukrzywdził? — Ja panie kochanku nikogo nie ukrzywdził, mnie wszyscy krzywdzą, a ja im dla miłości Pana Boga odpuszczam. Ja nikogo nie podrapał, chociaż mnie ta małpa poznańska, ten Kaszuba Szułkowski nazywa w Warszawie *niedźwiedziem litewskim*; ale podrapię jego dobrze, jak do Grodna na sejm przyjedzie. Ale to do waszeci, ojcze Idzi, nie należy, bo waszeć nie wielkopolski bernardyn. A w Litwie kogo ja ukrzywdził? Ja pokorny jak dziecko, panie kochanku; ksiądz Kantembryng ciągle mnie z ambony przymawia, a ja się na niego nie krzywię; a pan Leon Borowski mało mi figlów napłatał? A pan Jerzy Białopiotrowicz mało mi

się worał w moje granta? A pan filozof co tu śpi, Michał Rejtan, mało mi niedźwiedzi wybił w Nalibokach, i bobrów wyłowił w Łachwie? A ja się nie odzywam; tylko przed Panem Bogiem czasem zapłaczę. Na nikogo złości nie mam, na nikogo; mnie wszyscy krzywdzą, ja nikogo. Ojcze Idzi, wystrzeliłeś, aleś spudłował. Słuchaj bernachu, tobie się podobał mój pas, com go miał wczoraj na sobie; mówiłeś, że byłby z niego ornat, jakiego w Wilnie w zakrystyi katedralnej nie ma; jeżeli mnie dokażesz, że mam na kogo gniew, rozumie się w Litwie, to ci go dam; a jak nie dokażesz, to dasz sobie pięćdziesiąt dyscyplin na intencyę Wołodkowicza.— Zgoda, książę panie! pas będzie nasz, a ja taki dyscyplinować się będę na intencyę nieboszczyka; tylko się boję odezwać, bo nuż książę pan się obrazi? — Mów śmiało; nie będę się gniewał, jakem Radziwiłł. — Kiedy mnie książę pan ośmielasz, to powiem, że był zacny obywatel, który przed rokiem wiele nam świadczył. Bywało fury z jego śpichrza idą do klasztoru; a teraz my musimy udzielać mu z jałmużn, bo z głoduby umarł, a to dlatego, że książę pan wypędzić go kazał z zastawy, i prawie w jednej koszuli do Nowogródka uciekł. Pozywa się teraz z księciem, a kawałka chleba nie ma pan Strukczaszy Tryzna. — Tu mu przerwał książę: — Co ty się wtrącasz klecho nie w swoję rzecz! Ja

cały majątek stracę, a na swojem postanowię. On, okryty mojemi dobrodziejstwy, on, co prawie darmo Kołdyczew trzymał, odmówił mi ludzi na obławę, sług moich z błotem zmięszał, i mnie głupcem nazwał! Albo ja, albo on z torbą pójdzie. — Już on poszedł z torbą, książę panie; ale niech wasza książęca mość przypomni sobie, że przynajmniej dwa razy na dzień mówisz Panu Bogu: *odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy winowajcom naszym.* — Otóż ja odtąd wolę pacierza nie mówić, a taki nie odpuszczę. — Ale, książę... — Cicho mnie zaraz! precz ztąd Bernachu! nie suszyć mi głowy!... — Tu milczenie przez chwil kilka nastąpiło, aż dały się słyszeć kroki. — Wszelki duch Pana Boga chwali!... — I ja go chwalę; to ja, książę panie, wychodzę na rozkaz waszej książęcej mości; a to trepki moje, co z przeproszeniem jego uszu, troszkę chałasu narobiły. — Proszę waszeci, panie kochanku, nie odchodź z celi; śpij ze mną, bo jak do mnie przyjdzie Wołodkowicz, bez ciebie, mój księże, zachoruję z żalu. Ja z tym heretykiem Rejtanem, co z upiorów żartuje, sam na sam nie chcę być w nocy; a Bukowski śpi jak zabity. Kładź się, ojcze Idzi, i nie gniewaj się. Gdyby się przynajmniej Tryzna upokorzył..... ale taki z tego nic nie będzie. Potem, wedle relacyi p. Bukowskiego, nastąpiła cichość, a zaraz potem zwykły koncert księcia, ojca Idziego i Nepty. Ale pan Bukowski, co znał księ-

cia na pamięć, a dobrze życzył p. Strukczaszemu, i p. Michał Rejtan, już mieli dla niego dobrą nadzieję; tylko szło o to, aby pana Tryznę namówić, by jakiś krok do księcia zrobił; co nie było łatwo; bo choć podupadły, znał siebie magnatów koligatem, i do naginania się nie był skłonnym. Ale jakoś dobrze się nakartowało: bo nazajutrz po tej rozmowie, o której pana Tryznę pan Michał Rejtan, i podobno sam ojciec Idzi uprzedził, kiedy zagaił sejmik JW. Rdułtowski chorąży Nowogrodzki (bo JW. Niezabitowski podkomorzy, będąc zapozwanym *de malo gesto officio* przez JW. wojewodę Niesiołowskiego, pod procederem takowego gatunku nie mógł urzędowania dopełniać), — po zagajeniu, zaprosił zwykłym trybem urzędników ziemskich, grodzkich, rycerstwo i szlachtę księztwa Nowogrodzkiego, do obierania marszałka sejmiku. Po całym kościele huknęły głosy: „JO. księcia wojewodę Wileńskiego prosimy na marszałka! — Zgoda! zgoda!“ — zaczęła krzyczeć szlachta; aż tu pan Kazimierz Haraburda, przybliżywszy się do koła: — Nie ma zgody! lubo nadto byłbym szczęśliwy przyczynić moim głosem do zaszczycenia województwa tak wielkim i świetnym marszałkiem, jakim jest JO. książę wojewoda, ale sumiennie skłonność własną woli prawa poświęcić muszę; a prawo mówi wyraźnie: że obywatel pod kondemnatą będący żadnego urzędu sprawować nie może. — Na to my

wszyscy słudzy i przyjaciele księcia dobyliśmy szabel, i bylibyśmy w puch rozbili partyę pana wojewody Nowogrodzkiego; ale pan Jerzy Białopiotrowicz, co był powszechnie szanowany, uprosił nas, aby pochować szable, i ażeby koło rozstrzygnęło zarzut pana Haraburdy. Zaczęliśmy wołać: — Prosimy pana Haraburdę, aby złożył kondemnatę, jaką uzyskał na księciu wojewodzie. — Na to on: — Ja nie otrzymałem kondemnaty, i tegom nigdy nie mówił; ale W. Tryzna nasz strukczaszy, co w tem kole zasiada, otrzymał ją w grodzie. — Pan Michał Rejtan rozgniewany, odezwał się do pana Haraburdy: — Jeżeli kondemnata do waćpana należy, złóż na nią ustępstwo od W. Tryzny, a jeżeli jego nie masz, z cudzą kondemnatą się nie popisuj i milcz! — Waćpan sam milcz, kiedy ci język nie świerzbi! a nie ucz rozumu tych, co go mają tyle ile waćpan! Ja z mojego miejsca dopraszam się, aby W. chorąży raczył od pana Tryzny zażądać, aby złożył kondemnatę, jaką ma na księciu. — Tu zaczęliśmy wszyscy krzyczeć, że wniesienie pana Haraburdy nieprawne; bo pan Tryzna sam wie co jemu należy i o swoje upomnieć się potrafi. Książę pomiędzy nami stał mocno poruszony, i wąsa do góry nakręcał, aż tu W. Tryzna, który jako strukczaszy w kole zasiadał, a dotąd milczał, powstał i głosem drżącym, w którego dźwięku głęboki żal

się okazywał, powiedział te słowa: — Mamci wprawdzie kondemnatę na JO. księciu wojewodzie Wileńskim, i tu ją składam; krwawo czuję się być uciśnionym, ale jako obywatel obowiązany jestem moje prywatne uczucia ustąpić dobru publicznemu, a przekonanym będąc, że nic nie może być lepszem dla naszego województwa, jak poruczyć przewodnictwo naszego sejmiku JO. księciu, który go do pomyślnego kresu doprowadzi; na boku zostawując moję krzywdę, i mimo siebie puszczając, ile uciążliwych przewłók dla mnie wyniknąć może, oświadczam się, że JO. księcia wojewodę z otrzymanej nad nim kondemnaty kwituję. — Książę woiewoda przybliżył się do koła, i tak był rozczulony, że nie mógł więcej powiedzieć, tylko: — Chociaż żal czuję do W. strukczaszego, ale ten krok jego życzliwości i zaufania będę się starał wywdzięczyć. — Po całym kościele dały się słyszeć licznie powtarzane okrzyki: *Niech żyje książę, marszałek sejmiku! Wiwat Tryzna strukczaszy!* — Książę rozpoczął swoje urzędowanie, ale że już było koło pierwszej z południa, więc solwował sesyę do ósmej z rana na dzień jutrzejszy, a sam na obiad poszedł do chorążego Rdułtowskiego, gdzie na dziedzińcu było mnóstwo stołów pozastawianych i liczna szlachta tam się zebrała. Był i pan strukczaszy, i przy kielichach zaczęto godzić go z księciem. Książę powiedział: — Ja pana Józefata kocham; to krew

nie woda, Panie kochanku; moję prababkę Tryznianka rodzi. Oddaję Kołdyczew, a pretensye jakie mieć może za irrytacyę kontraktu, niech przyjaciele rozsądzą. Ale mam żal do niego osobisty. On moich sług zbeształ, i kazał im powiedzieć: że mnie piątej klepki nie dostaje. My obaj szlachta, zatem niech nas szabla rozprawi, i to natychmiast. — Napróżno się tłómaczył pan Tryzna, że tego nigdy nie mówił, a pan chorąży i pan sędzia Rewieński perswadowali: musiał dobyć pan Tryzna szabli, i bić się zaczęli w naszej przytomności. Panu Tryźnie pękła klinga, tak silnie uderzył po niej książę wojewoda; a pan sędzia pana Tryzny rozbrojonego złożył swoją szablą. Książę odezwał się: — Mam zupełną satysfakcyę — i ucałował Tryznę; przeglądał szablę i powiedział: — To szabla moja, bo ja ją krwią moją zdobyłem; przyznaj panie Józefacie, że umiem się składać. — Potem dawaj pić na zgodę. Książę był w przecudnym humorze. — Panie Michale — mówił — bądź spokojnym o pisaryę ziemską; ja sam jeden z moją batorówką całą partyę wojewody Nowogrodzkiego rozpędzę. — Książę i pan Tryzna zapisali się na kompromis na pana Białopiotrowicza, i już tylko sejmikiem byliśmy zajęci.

Szlachta ucieszona postępkiem księcia, nie mogła do siebie przyjść z radości. Słychać było, jak

między sobą rozprawiali: — A co nasz książę, czy nie tęgi rębacz? klingę jak masło przeciął. A i pan Tryzna przecie gracz; dwanaście świec łojowych od jednego zamachu ścina; ale kto naszemu księciu da radę? — Już to trzeba wiedzieć, że pan Tryzna miał szablę turecką z miękkiego żelaza; bo bić się nie spodziewał; ale na tym pojedynku źle nie wyszedł, bo książę bardzo go polubił, i bywało zawsze potem powtarzał prześladując, że gdyby nie pan Ignacy Rewieński, byłby mu głowę odciął.

Po obiedzie poszliśmy wszyscy na dziedziniec Bernardynów, gdzie lubo wszyscy byliśmy pod dobrą datą, *de novites repertis* piliśmy. Już tam była mięszanina. Urzędnicy i szlachta, magnaci i zaścianki, byli brat za brat. Książę napotkawszy jakiegoś szlachcica w obdartej czapce, zdarł ją z niego, na swoję głowę ją włożył, a oddał mu swoją aksamitną. Na to hasło, zaczęliśmy mieniać między sobą czapki, a pić; ale tak, że w momencie, każdy z nas inną czapkę miał na głowie. Potem książę, dobrze pijany, zaczął się rozbierać, besztając szlachtę z dobrego serca. I tak, jednemu dał swój pas, mówiąc: *daruję ci...*; drugiemu kontusz, *masz...*; temu spinkę brylantową, *trzymaj...*: a innemu żupan, *weź...*; tak, że został w hajdawerach amarantowych i w koszuli, na której wisiał ogromny Szkaplerz, i tak wlazł na wóz, na którym była kufa napełniona winem. On siadł na kufie,

a wóz szlachta ciągnęła po ulicach Nowogródka. Wóz co kilka kroków zatrzymywał się, a kto chciał, kielich lub garnek nastawiał, a książę czop od kufy odtykał i perorował; prosząc szlachtę, by mu dopisała, żeby pana Michała Rejtana na Pisaryi utrzymać, a nie dać Radziwiłła na pastwę nieprzyjaciół: — Panie kochanku — mówił — widzicie ten mój szkaplerz, ja go w sukcesyi noszę po moich antenatach. Lizdejko mój protoplasta, nosił go wprzód jeszcze, nim rewokował Władysław Jagiełło. Sierotka z nim do Betleem chodził. Szkaplerz jest wielki. Ja kocham naszych braci koroniaszów, Panie kochanku, ale nie ma jak nasza Litwa. Ja i w Koronie mam kawałek ziemi, ale dyabełby w niej siedział. Tam łatwiej o kuśnierza, niż o dojeżdżacza. Kiedy my niedźwiedzi bijem, to tam z rozjazdem na przepiórki chodzą. U Koroniaszów susły to gruba zwierzyna. To panie, jak zaczął mnie prześladować książę biskup Wileński szwagier wojewody Nowogrodzkiego, który się usadził teraz na nas, aby nie pan Michał Rejtan, ale pan Kazimierz Haraburda dekreta nam pisał; to już z rozpaczy chciałem dla Korony Litwę opuścić, i tam intratne opactwo mnie dawano za to, że wiersze piękne piszę. Ale razu jednego, kiedym się zaczął modlić Panu Jezusowi w Boremlu, On się do mnie odezwał: — Radziwille, wracaj na Litwę, bo tu nic nie wskórasz; tu szlachectwo śmierdzące. *Ostende patrem patris*, to wielka filozofia u szlachty tutejszej, nie tak

jak w naszej Litwie (bo moja prababka była Litewka) co od dziadów i pradziadów, każdy na swoim gruncie siedzi. Wracaj tedy na Litwę, i kłaniaj szlachcie nowogrodzkiej odemnie. — A ja Mu na to, padłszy krzyżem o ziemię: — Panie! a jak powrócę na Litwę, kiedy mnie Twój biskup prześladuje? — A On mnie: — To nie mój biskup, to grzesznik; ale on naprzeciw ciebie nic nie dokaże. Wracaj Radziwille na Litwę, a niech mnie... jeżeli ty nie będziesz Radziwiłłem po dawnemu, a on jak był... taki będzie...— Otóż panie kochanku, ośmielony obietnicą Pana mojego, do was wróciłem, i Pan mój nagrodził moję wiarę, bo nigdy nie wątpiłem o jego słowach; a moich wierszy odstąpiłem księdzu Naruszewiczowi, bo on krew i czeladka radziwiłłowska, i za moje wiersze dostał biskupstwo Smoleńskie. — A tu szlachta jak zaczęła się gromadzić, a nadstawiać uszy, a rozdziawiać gęby, ba nie tylko nasza, ale i partyi przeciwnej nawet zaścianki co samej Worończy dotykają; można było widzieć, że wygrana nasza, i że darmo poszły ekspensa senatorów Nowogrodzkich.

Do dziewiątej w nocy tłumy assystowały księciu, pijąc, hulając po ulicach i śpiewając, że przyjaciele wojewody Nowogrodzkiego bali się, by ich nie podpalono. Ale wszystko się odbyło porządnie i nikt gwałtu nie doświadczył. Odprowadziliśmy księcia zawsze na kufie, ale już później, do klasztoru, gdzie

on jeszcze na dziedzińcu dokazywał; a stanąwszy przy studni, zdjął szkaplerz, zrzucił hajdawery i koszulę, i kazał się zlać wodą. Czem wytrzeźwiwszy się, po szedł do celi, gdzie podkurka zjadłszy, i z ojcem Idzim pacierze odmówiwszy, spać się położył, pamiętny że na ósmą z rana trzeba mu być w kościele.

O samej ósmej nazajutrz, zebraliśmy się do sejmikowania, a książę zaprosiwszy wszystkich urzędników ziemskich i grodzkich do koła, zagaił sejmik temi słowy: — JJOO. JJWW. i WW. nasi wielce mościwi panowie i kochani bracia! Z rozkazu waszego objąwszy przewodnictwo sejmiku, w celu wyboru pisarza ziemskiego, mam honor was uwiadomić, iż dwóch kandydatów jest wam podanych. Jeden pan Michał Rejtan, szambelan J. K. Mości, niegdyś nasz deputat na trybunale Litewskim, drugi pan Kazimierz Haraburda starosta Wiladymowski. Zatem, panowie bracia, raczcie oświadczyć, którego z nich życzycie sobie na pisarza ziemskiego. — Pana Michała Rejtana prosimy! — odezwali się Odyńcowie, Mickiewicze, Siemiradzcy, Czeczoty i my wszyscy. — Zgoda! zgoda!— odpowiedziała szlachta z wielu zaścianków — pana Rejtana prosimy! — Nie ma zgody!—krzyknęli Jeśmany, Służkowie, Kobylińscy — pana Haraburdę prosimy! — ale głosy były słabsze. Nikt z naszych szabli nie dobył, bo książę wszystkich nas zaklął, aby żaden do gwałtu nie dawał pobudki, chcąc swoje urzędowanie odbyć w największym porządku. Za-

tem powstawszy książę powiedział: — Bywał zwyczaj w naszem województwie, że *unanimitate* wszystko się robiło, ale *nemini vox denegandа*; zatem zapraszam panów braci do wotowania. — Szlachta zaczęła głosować, ale wkrótce się upewnił pan Haraburda, że niepodobieństwo się utrzymać, i że wszystkie zaścianki go zawiodły; więc nie chcąc objawić słabości swojej partyi, przybliżył się do koła i zabrał głos, w którym oświadczył: iż nie chcąc nikomu być na przeszkodzie, odstępuje. I zaraz wyszedł z kościoła, i wyjechał na wieś, nie bez żalu na JW. wojewodę Nowogrodzkiego, iż go zaryzykował. Ale wkrótce potem tenże wojewoda instrumentował go sędzią grodzkim. Lepszy rydz jak nic, i tem go ukoił; a pan Michał Rejtan został pisarzem ziemskim.

Jeszcze sześć dni niby trwał sejmik; ale w istocie już była tylko hulanka. Jednak i ta hulanka nie była bez pożytku; więcej albowiem trzydziestu spraw, za namową szczególnie wojewody, poszło pod sądy kompromissarskie, a były niektóre zadawnione i bardzo zawzięte. Większej części superarbitrem był pan Jerzy Białopiotrowicz, istotny pacyfikator województwa.

IX.

Trybunał Lubelski.

1.

Osiemdziesiąt lat mija jak bieduję na tym padole płaczu, a i drugie i trzecie, i trzecie lat tyle przeżyłbym, a nigdybym nie zapomniał wrażenia, jakie na mnie zrobił trybunał Lubelski, chociaż na nim byłem nie dzieckiem ani młokosem. Lubom starzec, nie zazdroszczę młodzieży naszej, że mnie przeżyje, bo nigdy widzieć nie będzie tego, na cośmy patrzali. Doczeka i ona swego czasu czegoś dobrego, ale taki nie będzie to, co było. I nasze trybunały były pełne powagi, i było na co patrzeć, ale trybunał koronny

był nierównie okazalszy, bo starszy wiekiem i więcej narodom sprawiedliwość wymierzał. Na Litwie dziesięć województw, a w Koronie ledwo nie trzydzieści. Otóż kiedy konfederacya się rozwiązała, a mój pan już nie żył, osiadłem, jak to powiadają, *jak na lodzie*. Miałem ja chętkę i w wojsku rzeczypospolitej służyć, i o tom się starał; ale departament przyjmował konfederatów z równą uprzejmością, jak pies jeża. Cóż tu było robić? Przypomniałem sobie czasy dawne, jak to ja kiedyś u wuja relacye pozwów przepisywałem; pomyślałem sobie: pójdę do palestry obywatelom służyć. Coś się z prawa pamięta, reszty się douczy; nie święci garnki lepią — pomagali mnie też ludzie. W Polsce, kto się bił za sławę, a jeszcze coś dla niej oberwał po kościach, między swoimi z głodu nie zginie. Pan Fabian Wojniłowicz regent Ziemski, wziął mnie na dependenta; a przy takim łepaku kto nie chciał prawaby się nie nauczył, a cóż dopiero fałdy przysiedziawszy! Wkrótce człowiek wprawił się stawać jak potrzeba, a że w kieszeń pacyentom nie bardzo zazierał, szlachta powierzała interessa. Właśnie wtenczas na rękę mi poszło, że pan Stefan Oborski, plenipotent księcia wojewody, ożeniwszy się z panią Chrapowicką, bogatą wdową, której wydźwigiwał majątek nieco zawikłany, musiał się przenieść na Białą Ruś, a zatem księciu podziękować. Wielu oyło ubiegających się, aby jego miejsce zastąpić,

i mocne były intrygi. Ale książę z własnego instynktu, przypomniawszy sobie, że widywał mnie w bitwach, i że parę razy byłem do niego posłany z sekretnemi instrukcyami przez J W. Ogińskiego wojewodę Witebskiego, wówczas pana mojego, przez wzgląd na te moje jakieś zasługi, powierzył mi attentowanie wszystkich spraw, jakieby mógł mieć tak w ziemstwie, jak w grodzie Nowogrodzkim.

— Już od lat kilku chodziłem koło pańskich interesów, kiedy książę mi kazał jechać do Białej z częścią swego dworu, i tam na niego czekać. Książę przybywszy do Białej, niedługo w niej gościł i pojechał do Lublina, gdzie finalnie sądzona być miała jego sprawa zadawniona, która przez wielkie forsy przechodziła. Sięgała ona jeszcze czasów księcia Radziwiłła Sierotki, a okoliczności, z których wynikła, głośnemi są dotąd na Litwie. Książę Sierotka żył w ścisłych stosunkach z J W. Iliniczem, wojewodą Brzeskim Litewskim, co miał wielkie dobra, a między innemi Białę, w której mieszkał; kiedy więc powziął zamiar odbycia pielgrzymki do Ziemi Świętej, powierzył go przyjacielowi swemu. A że w kraju, gdzie barbarzyństwo pogańskie panuje, gdzie morowe powietrze nie ustaje, gdzie dostać się nie można, jeno przebywając góry, morza i pustynie, podróż tak jest niebezpieczna, iż można było zakład trzymać, że się z niej nie powróci. Książę będąc kawalerem,

a mając blizkich książąt Radziwiłłów upartych kalwinów, którzy go z powodu że rewokował, ile mogli prześladowali, a tem i on do nich niewiele miał serca, i nierad był, aby po jego śmierci ogromne spuścizny miały wzbogacić nieżyczliwych krewnych, umyślił majątkiem swoim obdarzyć przyjaciół. Te wszystkie okoliczności przyjacielowi wynurzając, prosił go o radę. Na to pan Ilinicz. — Jak zrobisz testament, mój książę, a Pan Bóg ciebie do kraju nie wróci, ci, których obdarzysz, nie będą korzystali z twojej szczodroty. Ty wiesz że w prawodawstwie naszem, żaden testament nie jest tak mocnym, aby *interpretationi* nie podpadał: krewni twoi Radziwiłłowie birżańscy są silni, oni rej wodzą nad dyssydentami obu narodów, a w Litwie i katolik nawet po twojej śmierci ich nie odstąpi; zwalą twój testament, owładną twoje dobra, i napełnią je bombizami. Jabym ci radził, nie testamentem, ale formalną tranzakcyą rozporządzić majątek.—A to jakim sposobem?—zapytał książę.—Ty nie żonaty;— odpowiedział JW. Ilinicz—ja dzieci nie mam: zróbmy więc między sobą tranzakcye na przeżycie Ja pierwej umrę? wszystkie dobra twoje; Pan Bóg ciebie wprzód zawoła do chwały swojej? Nieśwież, Świerzeń, Korelicze i co tylko teraz posiadasz, będą moje; a obaczysz, czy Radziwiłłowie dyssydentskiego wyznania choć jednę

piędź twojej ziemi wydrą. —Zgoda—powiedział książę. — Zaraz obaj panowie pojechali do Brześcia dla przyznania sobie tranzakcyi. Książę Sierotka puścił się na pielgrzymkę. Minął rok jeden i drugi, już tedy JW. Ilinicz wyglądał tylko pewnego doniesienia o śmierci księcia, bo chodziły wieści: raz, że okręt, na którym płynął, rozbitym został; raz, że z dżumy umarł; inny raz, że bisurmanie go zabili. A że wojewoda był łakomy, bardzo niecierpliwie musiał oczekiwać dokładniejszej wiadomości; całe księztwo i kilka hrabstw nie piechotą chodzą! Ale *człowiek sporządza, Pan Bóg rozrządza.* Książę Sierotka wszystkie trudy i niebezpieczeństwa przy pomocy anioła swego przebył i zdrów wrócił; szukał śmierci po szerokim świecie, i jej nie znalazł; a ona pana Ilinicza w jego własnych dobrach wytropiła. Bo kiedy książę Sierotka już wracał do Nieświeża, w Krakowie ledwo kilka dni zatrzymawszy się, obrócił podróż na Białę, aby przyjaciela uściskać; aż wjeżdżając do miasta, spotyka kondukt bardzo okazały, zapytuje kogo to prowadzą, i dowiaduje się, że JW wojewodę Ilinicza, którego przed dwoma dniami na polowaniu niedźwiedź rozdarł. Oddał mu ostatnie posługi książę, i szczerze po nim płakał, bo był czułego serca; jako o nim piszą, że nie było cnoty, którejby nie posiadał. Ale że tranzakcya jak wół, była wyraźna, dostało mu się czem łzy obetrzeć, i ubogim za duszę nieboszczyka

świadczyć. Biała, Sławiatycze, Czarnowczyce, Mir i tyle innych dóbr iliniczowskich weszły w dom Radziwiłłów. Tak jemu pielgrzymka i na ten, i na tamten świat, pomogła, bo wart był tego. Żona wojewody Ilinicza, Tarłówna z domu, miała posag swój oparty na dobrach męża; książę Sierotka, chociaż ona nie miała dożywocia, pokąd żyła, nie tykał ich, zostawiając jej wszystkie dochody; a ona wywdzięczając się za tę łaskę, listem własnoręcznym zapewniła księcia, że ani sama, ani jej sukcesorowie, o jej posag nigdy upominać się nie będą, gdyż aż nadto została zaspokojona. Ale potem Tarłowie zaczęli pieniać księcia, jakoby takie ustępstwa kobiece, nie listem ale tranzakcyą przyznaną w ssystencyi krewnych, mają się robić. Przez lat półtorasta o to wszczynały się i urywały sprawy. Książę Michał Radziwiłł, hetman wielki Litewski, ojciec księcia wojewody, na trybunale Lubelskim zjechał się był z Tarłą wojewodą Lubelskim, który mu niemało nadokuczał, będąc najzuchwalszym z ludzi; ale wtenczas na niczem spełzło, a wkrótce JW. wojewoda Lubelski, ostatni z domu Tarłów po mieczu, zginął na pojedynku od JO. księcia Poniatowskiego podkomorzego Koronnego, o którym to pojedynku wiele było gadania. Sprawa dostała się w spadku JO. księciu Lubomirskiemu marszałkowi wielkiemu Koronnemu. Jeśli świadomy jestem tego wszystkiego, nie dziw, bo od

deski do deski sto razy może przeczytałem wszystkie dokumenta tyczące się tej sprawy.

Pojechaliśmy więc do Lublina za księciem. Do bryki w której siedziałem, dodano mi pana Bartłomieja Chodźkę, dworzanina księcia. Dobry chłopiec, ale paliwoda, jakiego świat i korona Polska nie widziały. Ojciec jego, sędzia ziemski upitski miał piękny majątek i kilka razy deputował na trybunał. Mógłby on sam wykierować syna, ale rady mu dać nie mógł, taki był zabijaka. Oddał go do palestry, chcąc mieć niedaleko swego oka; ale ten więcej szabelki, niż pióra pilnując, tyle ponakrawał łbów, że w jednym roku do trzydziestu tysięcy musiał zapłacić za jego burdy. Naprzykrzyło mu się; a że był spadkowie przyjacielem domu Radziwiłłów, a książę Radziwiłł lubił szlachtę łapczywą do korda, więc go oddał do Nieświeża. Wzrostu był małego i sucharlawy, figura niepoczesna, ale mało ludzi równej siły i tak szablą robiących. Miał on pałasz cieniutki, który *smyczkiem* nazywał. Najmilsza jego zabawka była wpaść między nieznajomych, i udając mazgaja przyjść do zaczepki. Pozwalał naprzód z siebie żartować, potem odciął się czem grubem, żeby być wyzwanym, dopiero minę tchórza przybrawszy wypraszał się od pojedynku, a nakoniec z musu niby bił się i kaleczył tych, co się na nim nie poznali. Já, że byłem już ojcem dzieciom, a do tego zaszczycony przyjaźnią W. sędziego upit-

skiego, więc miałem przewagę nad panem Bartłomiejem, i wierzył mnie. Bywało nieraz umityguję go, kiedy przyjechawszy do Nowogródka wpadnie w burdę, bo on zawsze do mnie zajeżdżał, jako do sługi jednego dworu. Więc z nim na bryczce siedziałem, a on że nigdy dotąd z Litwy nie wyjechał, wypytywał mnie w drodze o Koronie. Razu jednego mówi do mnie:—Wybacz, panie Sewerynie, ale taki mój smyczek musi się pobratać z Koroniaszami; szczególnie radbym poznał jakiego Łęczycanina.—A to czemu?—Temu, że kiedy mnie w szkołach męczono, wyczytałem w Trocu, że Francuzi mówią: bić się po dyabelsku; a Polacy: bić się po łęczycku. Tyle mi zostało z całej francuzczyzny. Otóż radbym się przekonał, czy lepsi gracze w Łęczycy, czy w Poniewieżu.—Ej! porzuć, panie Bartłomieju, pleść takie koszałki opałki. Czy nie wiesz, że pod bokiem trybunału burdę zrobiwszy, można się przed czasem obaczyć z Trójcą Świętą? Waćpan całe życie guza szukasz, a jak staniemy, powiem ja księciu panu, jakie waćpan chcesz kwerendy robić w Lublinie: to książę waćpana nie każe wypuścić ze stancyi.—Panie Sewerynie, ja tak żartuję tylko, aby czas prędzej schodził. Ktoby tam o burdach myślał! Bądź spokojny, ja pana ciągle się będę trzymał; ale dla Boga księciu panu o niczem nie wspominaj. — Myślałem, że się panicz utemperował, bo spotykaliśmy po karczmach szlachtę łukowską przy kuflu, a przecie pan Bartłomiej nikogo nie za-

czepił. Przyjechaliśmy do Lublina w sobotę wieczorem; ja byłem rad, że nazajutrz była niedziela, bo dojeżdżając do Lubartowa, gdyśmy spuszczali z góry naszyjniki pękły i konie nas poniosły. Pan Bartłomiej śmiał się, ale ja przeląkłem się mocno, i zrobiłem intencyę, że jak Pan Bóg wyratuje mnie z niebezpieczeństwa, przyjechawszy do Lublina, nazajutrz pójdę do Spowiedzi i Kommunii. Jakoż lubo bryka przewróciła się na grobli, prawdziwym cudem wszyscy wstaliśmy bez szwanku. Ale w niedzielę ledwo przez pół mogłem dopełnić mojej intencyi, bo książę kazał z rana przyjść do siebie, aby pomagać panu Radziszewskiemu w tłomaczeniu interesu przed panami Hryniewieckim i Koźmianem, co później zostali jeden wojewodą, drugi kasztelanem Lubelskim, a byli pierwszymi mecenasami w Lublinie, i księcia pana wielkimi przyjaciołmi. Szczęście, że książę miał kapelana i ołtarz podróżny z wielkiemi przywilejami od nuncyusza, bo inaczej byłbym mszę świętą przypiekł. W istocie konferencya po dwunastej się zakończyła. Ja z panem Bartłomiejem poszedłem do OO. Bazylianów i trafiliśmy pod sam koniec nabożeństwa. Uprosiłem księdza, że mnie wyspowiadał, ale przyjęcie Ciała Pańskiego do jutra odłożyć musiałem. Trybunał w tym roku odbywał się pod laską JW. Chołoniewskiego, starosty Kołomyjskiego, co miał jakąś kolligacyę z księciem panem. Prezydentem był kano-

nik Wodzicki, opat Hebdowski, u którego przez czas urzędowania tyle się starego wina wypiło, że parę niedziel koło młyńskie mogłoby się niem obracać. On to mawiał, że wino przynajmniej jednym rokiem starsze być powinno od uprzejmego gospodarza. Otóż JW. marszałek trybunału tyle miał szacunku dla dostojnego swego kolligata, że pierwszy go nawiedził i zaprosił do siebie na obiad. Książę pan przyjął go przed kamienicą, żaląc się iż go uprzedził, a potem z JW. marszałkiem pojechał do przewielebnego prezydenta. Że zaś pan Koźmian zaprosił do siebie na obiad WW. Radziszewskiego i Rupejkę, Ciwuna ejragolskiego, co z przyjaźni dla księcia urząd marszałka dworu interymalnie sprawował; więc przy mnie, jako plenipotencie specyalnym, zostawało pierwszeństwo nad dworem, i u stołu marszałkowskiego byłem gospodarzem. Po obiedzie poszedłem miasto poznać, a jednak nie bardzo dowierzając panu Bartłomiejowi co do obiecanego statku, zaprosiłem go, by mi dotrzymał kompanii. Poszliśmy więc; ale że jako w niedzielę wszystkie juryzdykcye były pozamykane, a urzędnicy, pacyenci i palestra biesiadowali — okrom tego nie mieliśmy znajomych, więc z panem Bartłomiejem wyszliśmy sobie za miasto od gościńca lwowskiego, aby okolicę obejrzeć. Kilkaset kroków uszedłszy, natrafiliśmy na kilka starych lip, za któremi była karczma, a przed lipami na samym gościńcu leżał wielki kamień młyński, Pan Bartłomiej odezwał się:—

Nieźle byłoby siąść na tym kamieniu pod cieniem, i napić się piwka. — Dobrze mówisz; poczekajże na mnie, a ja pójdę do gospody i każę go wynieść.—Przy gospodzie zastałem kilkunastu młodzieży do palestry należącej, jakem wnosił z ich ponsowych lubelskich kontuszów. Ja im się ukłonił, oni mnie i wszedłem do szynku. Żyd poszedł do lodowni natoczyć garniec świeżego piwa, a ja na niego czekając, czytałem po oknach i ścianach różne popisane koncepta. Gdy żyd wrócił z piwem, poszliśmy do lip: widzę pana Bartłomieja siedzącego na kamieniu jakem go zostawił, a przy nim ci wszyscy panowie, których znalazłem na przyźbie przed karczmą. Stali koło niego, a on na nich poglądał jak gap. Jużem poznał, że to będą nie przelewki; przybliżyłem się do niego, a on do mnie, mazgaja minę zrobiwszy: — Panie Sewerynie dobrodzieju, coś ci panowie mówią koroniaszowskim językiem; powiedz panie, czego oni chcą odmnie.— A jeden z ponsowych panów:—Waćpanowie może nie wiecie, że tu się kończy juryzdykcya trybunalska; to jest palestry młyn, oto kamień, a my kołem. Kto się tego kamienia dotyka, musi ztąd wyjść albo mąką albo krupami. Waćpanów dwóch: powiedźcie, którego mamy zmleć, a którego zkrupić?—Ja im na to:— Moi panowie, jam już za stary, abyście ze mnie żartowali, a Bóg świadek, że jutro do komunii przystępuję. Powtóre, będąc tu w interesie księcia Radziwiłła wojewody Wileńskiego, w którego orszaku

przybyłem, nie mogę sobą rozporządzać przed końcem jego sprawy. A oto jest pan Chodźko, sędzic ziemski upitski, dworzanin JO. księcia wojewody. Bądźcie więc łaskawi, panowie, puśćcie nas z Bogiem.—Między niemi był, jakem się później dowiedział, dependent pana Koźmiana, nazwiskiem Czarkowski z Bracławskiego, który wiedział że jego mecenas chodzi około interesów księcia. Ten się odezwał: — Panowie koledzy, to jest umocowany księcia; ja za nim proszę, ile że on się nie dotknął naszego kamienia; ale pana sędzica upitskiego, co tu na tym kamieniu siedzi, będziemy mleć bez ceremonii.—A czyście mnie ze swego śpichrza wynieśli, żebyście mnie mleć mieli? — Ty się naszego kamienia dotknął, to jużeś nasz. — A jakże wy mnie mleć będziecie?—Powiedzno bracie, czy ty karabelę nosisz tylko dla ozdoby? Czy waćpan ksiądz, żebym mu się spowiadał?—My z tobą w rozprawy językowe wdawać się nie będziem: wstawaj i dobywaj szabli, a reszty się domyślisz.—A kiedy mi dobrze na tym kamieniu. Nie wolelibyście piwka z nami wypić i odczepić się odemnie, a zmleć kogo z waszych? bo zboże litewskie ususzone i twarde.—Obaczymy! —Odezwał się jeden—czy twardsze od naszego. Ja jestem marszałkiem koła, zemną trzeba zaczynać; wstawaj więc bracie.—A kiedy ja się asandzieja boję: wolę przeprosić, niż bić się.—Już to za późno, bić się musisz; chyba zezwolisz abyśmy ciebie wypłazowali.—

No, kiedyście tacy zawzięci, czy nie ma między wami Łęczycanina jakiego?—i zaczął chustką niby łzy z oczu ocierać dodając: — Oj, biedna moja matulo, jakże będziesz płakać po swoim Bartku. — Tak ja: — Panowie dobrodzieje, posłuchajcie mnie, jako wiekiem od was starszego. Wszak to w tym samym Lublinie zrobiła się unia Korony z Litwą; poruszą się zwłoki naddziadów, jak się Litwini z Polakami w temże mieście powadzą. Czyby nie lepiej na pamiątkę Ludwika, ojca królowej Jadwigi, a teścia Jagiełły, wezwać węgrzynów aby nas pogodzili? Dajcie pokój temu chłopcu, a pozwólcie, żebym posłał po wino i was uczęstował w tej gospodzie.—Zaczęła miękczeć palestra, i niektórzy odzywali się do marszałka:—Puść z Bogiem tego poczciwego Litwosza; on nie wiedział o prawach naszego młyna. — Tu się zaczął obawiać pan Bartłomiej, aby burda na niczem nie spełzł i siedząc zawsze na kamieniu, odezwał się drapiąc głowę:—A to waćpan jesteś marszałkiem tego młyna? winszuję: ale na Litwie mielnicy i wieprze po młynach siedzą, a nie marszałkowie.— Słuchaj, bracie gapiu: przez wzgląd na twego poważnego kolegę, całego cię puszczam; ale trzymaj język za zębami, a z żarcikami występuj na takich, jakiś sam. — Nie gniewaj się W. marszałku, nie będę z tobą żartował, tylko seryo mówię. A wiesz, dlaczego wolałbym z biedy potykać się z Łęczycaninem, niż z waćpanem? Bo mówią, że Łęczycanie mają rozum; a oto świadek mój kolega, że

kiedym jechał z Litwy do Lublina, cyganka mi wróżyła, że z rąk wielkiego błazna mam zginąć; to jakem spojrzał na W. marszałka, bardzom się jego przestraszył.—Już tu nie było sposobu poradzić. Marszałek ledwo nie pękł ze złości, i dobywszy szabli, z największym impetem na Chodźkę natarł. Ten tylko miał czas za kamień wyskoczyć, dobył swego smyczka plunąwszy w rękę, i od pierwszego składu tak dał po łapie, że szabla na ziemię upadła. Obwiązywali marszałkowi rękę, a on nie tyle z bólu, ile z konfuzyi, stał jak wryty. — A nu! — odezwał się pan Bartłomiej—myślałem, że bić się z Koroniaszem wielka filozofia, a tu marszałka oporządzić mniej trzeba czasu, niżby butelkę odkorkować. — Poczekaj, gburze, dam ja tobie!—zawołał drugi—i z ogromnym pałaszem na niego. Ale ledwo parę razy się złożył, smyczkiem po łbie dostał. Stanął trzeci: — Chciałeś mieć do czynienia z Łęczycaninem, oto masz go tu. — Trochę dłużej trwało, ale i ten po łbie oberwał. — A to dyabeł, nie Litwin! – odezwali się Koroniasze. — Słuchaj panie bracie, tyś zadrwił z nas; udawałeś gawrona, a tyś rębacz czternastej próby. Wedle praw naszego młyna, kto trzy razy zwyciężył, wolnym jest od wszelkiej prepedyi. Jeżeliś temu rad, ofiarujem ci naszą przyjaźń; jeśli nią gardzisz, chociażeś tęgi, jeden po drugim wszyscy ci służyć będziem. — *Omne trinum perfectum*—odezwałem się—będzie z waćpana, panie Bartłomieju, a pocałuj się z tymi zacnymi pa-

nami.—Zgoda—odpowiedział pan Bartłomiej. — Jak ja mam sobie za zaszczyt, żem się z wami pobawił smyczkiem, tak jeszcze za większy poczytuję waszą przyjaźń.—Zaczął się z niemi całować, przepraszać tych, co obznaczył, a szczególnie marszałka. Ja aby ich pocieszyć, powiedziałem: - Niech to panów nie upokarza, żeście nie byli szczęśliwi z moim kolegą, bo to jest pierwszy rębacz na Litwie. — Jakoż się szczerze pojednali, i odprowadziliśmy do kwatery marszałka, jego samego i kolegów ranionych; my piechotą, a ranieni na furmance u żyda najętej. Palestra fundowała nam hulankę, że dobrze podochoceni wróciliśmy do siebie. Po drodze strofowałem trochę pana Bartłomieja, alem go jeszcze więcej niż wprzódy pokochał, bo taki honor prowincyi Litewskiej utrzymał.

Nazajutrz odbywszy się w kościele, poszedłem z panem Bartłomiejem na trybunał, gdzieśmy zastali kilku z tych, cośmy poznali dnia wczorajszego przy kamieniu młyńskim. Oni czekali przybycia członków trybunału; mnóstwo było palestry i pacyentów wustępnej sali; było tego więcej tysiąca, jakem z oka miarkował. Nasi przyjaciele oprowadzali nas wszędzie, wszystko nam tłómacząc. W sali sądowej stał krzyż kamienny z wizerunkiem Zbawiciela, a nad nim był napis wielkiemi złotemi literami: JUSTITIAS VESTRAS JUDICABO. To nas uderzyło, że Chrystus

Pan miał twarz odwróconą tak, że jej rysów nie można było widzieć; ale nasi przyjaciele powiedzieli nam, że snycerz nie był go tak wystawił; i owszem, Chrystus pan wprzód na trybunał patrzył, ale przed laty pewien wypadek stał się przyczyną tej zmiany. Była wdowa szczupłego miana, uciśniona procederem przez jakiegoś magnata. Jej sprawa była jak bursztyn czysta, ale magnat, zobowiązawszy wszystkich członków trybunału, zyskał dekret wbrew prawu i sumieniu. Gdy go ogłoszono, nieszczęśliwa wdowa wyrzekła na cały głos w izbie: — Gdyby mnie sądzili dyabli, sprawiedliwszy byłby dekret.— A że sumienie kłóło nieco deputatów, na roki jej nie pozwano, i wszyscy udali jakby nie słyszeli, z czem się odezwała; a że to było pod koniec sesyi, porozjeżdżali się marszałek i deputaci, tak duchowni jako i świeccy, została tylko kancelarya i pisarze trybunalscy. Aż tu zajeżdża przed trybunał mnóstwo karet; wysiadają jacyś panowie, jedni w kontuszach, drudzy w rokietach, z rogami na głowach i ogonami, które się z pod sukien dobywały. I zaczynają iść po schodach, a przyszedłszy do sali trybunalskiej, zajmują krzesła, jeden marszałka, drugi prezydenta, inni deputatów, Pomiarkowali się pisarze i kancelarya, że to byli dyabli, i w wielkim strachu przy stołach swoich siedząc, czekali co z tego będzie. W tem dyabeł co marszałkował, kazał wprowadzić sprawę tejże wdowy. Przystąpiło do kratek dwóch dyabłów jurystów: jeden *pro*,

drugi *contra* stawał, ale z dziwnym dowcipem i z wielką praw naszych znajomością. Po krótkim ustępie dyabeł marszałek przywołał pisarza województwa Wołyńskiego (bo ten interes był z Wołynia), ale prawdziwego pisarza, nie dyabła, i kazał mu siąść za stołem i wziąść pióro. Zbliżył się pisarz w pół umarły z bojaźni, i przymrużając oczy, zaczął pisać dekret, jaki mu dyktowano. Dekret był zupełnie na stronę uciśnionej wdowy, a Pan Jezus na taką zgrozę, że dyabli byli sprawiedliwsi niż trybunał, Przenajświęszą Krwią Jego wykupiony, i w którym tylu kapłanów zasiadało, zasmuconą twarz odwrócił, i oblicza Swego nie pokaże (jako miał o tem objawienie świętobliwy jeden Bazylian Lubelski), aż naród się pozbędzie zaprzedajności w sądach, łakomstwa w księżach i pijaństwą w szlachcie. Ów dekret dyabli podpisali, a zamiast podpisów były wypalone łapki różnego kształtu, i położywszy go na kobiercu, który pokrywał stół trybunalski, zniknęli. Następnej sesyi trybunał znalazł dyabelski dekret, gdzie był położony; bo rozumie się, że nikt z kancelaryi ruszyć go nie śmiał. Złożono go w archiwach, a że akta nikomu nie są wzbronione, kto zechce może go odczytać, nawet ekstraktem wyjąć.

Podczas gdyśmy się zastanawiali nad tak niesłychanym wypadkiem, usłyszeliśmy woźnych różnemi tonami powtarzających:—Mości panowie, ustąpcie

się, ustąpcie się! JW. Sandomierski idzie; — a potem znowu; — ustąpcie się, JW. Poznański idzie; — i tak ciągle coraz innego JW. mianuje. My czem prędzej wrócili się do sali ustępnej, przez którą między dwiema liniami palestry i pacyentów, poprzedzani przez woźnych, szli poważnie deputaci do sali trybunalskiej, lekkiem skinieniem głowy odpłacając nizkie ukłony z prawej i lewej strony odbierane. Aż huk bębnów i gęste wystrzały oznajmiły przybycie JW. marszałka. Tu woźni wszyscy odezwali się jednym głosem: — Mości panowie, uciszcie się, uciszcie się! JW. marszałek najjaśniejszego trybunału idzie. — I prawda, że w tak licznem zgromadzeniu takie milczenie towarzyszyło przybyciu JW. marszałka, że muchę latającą usłyszećby można było. Prawy i lewy szereg, między któremi przechodził, ukłonem ziemi prawie dotykał, i dopiero kiedy już był o kilka kroków naprzód, jeden łeb po drugim powstawał, a tak regularnie, jakby za pociągnieniem sznurka. Za marszałkiem kilku magnatów przybyło, i między niemi JO. książę wojewoda Wileński z JO. marszałkiem wielkim Koronnym szli razem, po przyjacielsku rozmawiając, chociaż się prawowali, bo wielki dla siebie wzajemnie znali szacunek, ile że pomimo kilkakrotnych krwi związków, JW. Rzewuski hetman polny Koronny, a księcia wojewody szwagier, miał wkrótce łączyć się w dożywotniej parze z cór-

ką księcia marszałka, księżniczką Konstancyą, panią, która i pięknością i rozumem wszystkich zachwycała. JW. Marszałek trybunału zaprosił księcia marszałka W. K., księcia wojewodę Wileńskiego, i innych znajdujących się senatorów za kratę, aby raczyli zająć miejsca w izbie trybunalskiej, a woźni im krzesła poustawiali: bo ministrów i senatorów nawet w czasie ustępu nie wypraszano, sami chyba przez delikatność usuwali się. Gdy trybunał zasiadł, JW. przewielebny prezydent zaintonował *Veni Creator*, a deputaci duchowni wszyscy i niektórzy świeccy, jakoteż wielu z palestry i pacyentów, wtórowali, że po całym rynku hymn dał się słyszeć. JW. marszałek uderzył laską i rozkazał woźnemu, aby ogłosił gotowość sessyi, a ten stanąwszy na progu ustępnej sali, tubalnym głosem wykrzyknął: — Mości panowie! najjaśniejszy Trybunał przywołuje was do attentowania i słuchania spraw. Agitować się będzie regestr ordynaryjny, kolej przypada na województwo Krakowskie. Mości panowie, gotujcie się“.— Regent trybunalski głośno przeczytał wokandę, a sprawa JW. Wielopolskiego, marszałka nadwornego koronnego, powoda, z WW. Dembińskiemi chorążycami krakowskiemi, o *aurulsa* margrabstwa Pinczowskiego, wprowadzona została. Pan Koźmian stawał od strony powodowej, a pan Plichta bronił WW. Dembińskich. To lubo było indukta, ani Demostenes, ani Cycero lepiejby nie

mówili. Odbyło się jeszcze kilka innych na tej sesyi, bo JW. marszałek był czynny, i co sessyi kilka dekretów ogłaszał. A co to była za okazałość! Deputaci duchowni w rokietach koronkowych, deputaci świeccy w mundurach swoich województw, a palestra cała w mundurze lubelskim: kontusze ponsowe, kołnierze i podszewki zielone, białe żupany. Taki to mundur nosił tego dnia i nasz książę, jako obywatel województwa Lubelskiego, w którem oprócz innych dóbr miał hrabstwo woszczatyńskie, także po Iliniczach, i na tem to hrabstwie pozwy od sukcessorów Tarłowskich były kładzione. Po sieniach hajduki, pajuki, węgrzynki, a strzelców, a hałastry, a kozaków co niemiara; na rynku karety, kolasy, a koniel — Papież nie powstydziłby się niemi jeździć; a srebro, a złoto wszędzie aż kapało. Na trybunale szlachcic poznawał wielkość swojego kraju. To kiedy po sessyi wracając na kwaterę, przechodziłem po pod sklepami, gdzie Niemcy i Francuzi towarem zagranicznym handlują i wzbogacają się naszym groszem, tom z litością na nich patrzał, i pomyśliłem sobie: — nie zazdrościm wam, że u was każdy, jak mówicie, w kamienicy się rodzi, i że u was obfitość figielków stalowych i kościanych. Coby wam było z waszego dowcipu, bez naszych pieniędzy! Ani macie, ani mieć możecie

tego co my. Gdzie się jaki nasz pan pokaże, to się ani opędzi od Francuzów, Włochów, Niemców; a żaden z nas do waszych panów nie lezie.

Tego dnia był obiad wielki u JW. prezydenta, na którym był nasz książę i JO. jego antagonista; tam się też zrobił początek zgody między niemi. Ksiądz Bykowski, deputat kapituły łuckiej, a który dzierżał Infułę ołycką z kollacyi JO. księcia wojewody Wileńskiego, W. Radziszewskiego i nas wszystkich dworzan księcia zaprosił do siebie na obiad, gdzie było kilku deputatów i mecenasów. Ciągle dawały się nam słyszeć wiwaty z harmat tym, których zdrowia spełniali u JW. prezydenta. Tego wieczora byłem na teatrze, i przyznaję się, żem się bardzo niecierpliwił. Bo człowiek radby wiedział o sztuce granej, i nakoniec na to zapłacił, ale nie było sposobu. Co zacznę słuchać, to w prawo i w lewo taki hałas, że człowiek nie wie, gdzie się znajduje. Jak pokaże się wyżej czy deputat, czy jakiego deputata żona, krzyczą z dołu *wiwat*, że aż ściany się trzęsą; a niektórzy wina każą przynieść i wołają na komedyantów, żeby granie przerwali, pokąd kielich rąk nie obejdzie. Dopiero potem pozwolą biedakom dalej rzecz swoją prowadzić, póki jej na nowo nie przerwą. Tak sztuka około jedenastej się skończyła, a tylem o niej wiedział powracając z teatru, jakbym nigdy ze stancyi nie wychodził. Postanowiłem sobie, pokąd

będę w Lublinie na teatr nie chodzić, i czterech złotówek w wodę więcej nie rzucać.

Nie długośmy bawili w Lublinie; bo jak przyjechał brat JO. księcia marszałka, pan Krakowski, i JW. hetman polny koronny, to sprawa, która od dwóchset lat trwała, w kilku godzinach się skończyła; książę wojewoda Wileński odstąpił na rzecz książąt Lubomirskich wszystkich praw, jakie miał wspólnie z nimi do sukcesyi po Szydłowieckich; a książęta zakwitowali go z posagu JW. wojewodziny Illiniczowej. Komplanacyę sam JW. marszałek trybunału swoją ręką napisał, a strony ją podpisawszy osobiście przyznały. Ekstrakt komplanacyi przynieśli księciu plenipotenci książąt Lubomirskich, którym nasz książe rozdał do tysiąca czerwonych złotych; a my podobnież takowy extrakt zanieśli książętom Lubomirskim, co była dla mnie wielka radość, bom jeszcze dotąd nigdy nie widział żadnego kasztelana Krakowskiego, który z urzędu swojego jest *Princeps Senatus* obojga narodów. Co dostał W. Radziszewski i inni, w tom nie wchodził; wiem tylko, że pan Husarzewski, marszałek dworu księcia Lubomirskiego, wręczył mi tabakierkę papierową, ale ciężką, bo w niej było sześćdziesiąt czerwonych złotych, z których tego dnia użyłem dwadzieścia i cztery na kupno antała wina u Jokisza Węgra, a to prawdziwego maślaczu, bo mi się tegoż samego roku dziewka urodziła. Ten

antał wyprawiłem na Litwę z transportem księcia pana: takim sposobem dostał się do Doktorowicz, że o nim nikt nie wiedział, pokąd na weselu tejże córki łaskawi przyjaciele ze mną go nie wysuszyli.

2.

W czasie naszego pobytu w Lublinie, cudowny zdarzył się wypadek. W. Kurdwanowski, możny obywatel, który rej wodził partyi hetmana Branickiego, był wielkim pieniaczem, i ani w Żytomierzu, ani we Włodzimierzu, gdzie miał dobra, nie było kadencyi bez kilkunastu jego wpisów; toż samo i w Trybunale. Plenipotenci hetmana jego spraw attentowali, plecy miał silne: biada szlachcicowi, co z nim sąsiadował; a taki był uparty, że nie znał co to się zgodzić, i pienił się do upadłego. Była wdowa mająca wioseczkę niewielką w środku jego dóbr, którą bardzo życzył nabyć W. Kurdwanowski, i kilkakrotnie o to się zgłaszał; ale ta wdowa, nazwiskiem Glinkowa, zbyć nie chciała swojej wioski, lubo jej war-

tość pewnie nie dochodziła kwoty za nią ofiarowanej. Otóż rozgniewany W. Kurdwanowski tym, jak go nazywał, uporem wdowy, ułożył sobie procederem wydrzeć, czego pieniędzmi dokazać nie mógł. Miał on sobie obowiązanym neofitę Ramowicza, który liznąwszy jurysteryi, do wszystkich brudnych interesów był sposobny: jakoż podobnemi na obywatela się wykierował, że już miał pod Berdyczowem kilka wiosek, a przecie niczego nie opuścił; byle mu coś kapnęło. Dobrawszy więc sobie takiego niecnotę, układa z nim następną machinacyę. Dziad pani Glinkowej od antecessorów pana Kurdwanowskiego kupił tę wioskę, która go teraz tak mocno tentowała; a donacya, kontrakt rezygnacyjny i kwit *de prietio*, były na to w Aktach żytomierskich. Przekupują tedy niejakiego Pazurkowskiego, plenipotenta pani Glinkowej, aby oryginały z pomiędzy jej papierów wydobył i im oddał, które dostawszy, jadą natychmiast do Żytomierza, i tam za tysiąc czerwonych złotych wyrabiają od Rojeckiego, pisarza ziemskiego tamecznego, iż z akt wydziera oblatę tychże dokumentów. Tak zatarłszy wszelki ślad nabycia wsi, zapozywa W. Kurdwanowski panią Glinkowę o nieprawne posiadanie *sine nullo dato et accepto*, jego majątku. Napastowana wdowa, ufna w świętość swojej sprawy, a niemniej w światło i przyjaźń Pazurkowskiego, czeka wyroku, co jej spokojność ma powrócić. Ziemstwo nakazuje stronom komportacyę

dokumentów. Pan Ramowicz, jako plenipotent, przysięga, bo taki W. Kurdwanowskiego sumienie ruszyło i nie był na sprawie; pan Pazurkowski zaprzysiągł także komportacyę dokumentów będących w jego ręku, z których zniszczył te właśnie, co stanowiły cały interes jego pryncypałki. A tak Sąd ziemski, do którego dobrze panu Kurdwanowskiemu forytował Rojecki Pisarz, a który nakoniec może i sumiennie postępował, bo taki sądzi się z dokumentów; nie z własnej wiadomości, przysądził panu Kurdwanowskiemu wieś z kalkulacyą od lat kilkudziesiąt. Majętna wdowa, zagrożona tym dekretem z trojgiem dziatek być bez kawałka chleba, appellowała do trybunału, a trybunał potwierdził wyrok sądu ziemskiego. Ale w Koronie dwa dekreta trybunalskie *conformiter* zapadłe, stanowią dopiero konwikcyę. Właśnie kiedyśmy byli w Lublinie, ta sprawa na stół przychodziła. Śpieszył na nią pan Kurdwanowski w dobrej nadziei, bo wsparty dekretem ziemskim i jednym trybunalskim. Miał przytem wielu deputatów za sobą i miał czem ich nabywać; a sumienie swoje już był zwyciężył.

Jadąc do Lublina, gdy mu nocleg w Piaskach wypadł, marzy mu się we śnie, ale tak wyraźnie, jakby to się działo na jawie, że się znajduje w sali trybunalskiej. Tam widzi marszałka i deputatów miejsca zajęte, ale przez osoby

jemu nieznajome. Marszałek ogłasza, iż sądzić się będzie regestr taktowy, i każe czytać wokandę. Pierwszy wpis wychodzi pana Pazurkowskiego. Jakież było zdziwienie pana Kurdwanowskiego, słysząc prowadzenie jego sprawy, ze wszystkiemi okolicznościami jego zaprzedajności i wydania oryginalnych dokumentów na zgubę pryncypałki! Po wysłuchaniu tej sprawy, w kilku słowach marszałek ogłasza dekret skazujący na śmierć Pazurkowskiego; a po jego przeczytaniu, każe wprowadzić sprawę następnego wpisu. Wprowadzają sprawę pisarza Rojeckiego. Słyszy W. Kurdwanowski (choć we śnie, ale silnie przerażony), jak Instygator dowodzi, że pisarz wziął tysiąc czerwonych złotych, które mu sam Kurdwanowski wręczył, jak pofałszował akta, i t. d., a marszałek równej krótkości dekret jak poprzedzający ogłosił, pana Rojeckiego toż samo na śmierć skazując. Czeka więc (zawsze we śnie), co tu dalej będzie. Słyszy, że z kolei Rejent czyta dwa następne wpisy: Urodzonego Ramowicza i W. Kurdwanowskiego; marszałek oba wpisy połącza, i każe wprowadzić sprawę. Tu słyszy W. Kurdwanowski Instygatora, tłómaczącego całą rzecz i dowodzącego z wymową niepospolitą, ale tak, że aż mrowie po nim przechodziło, iż trybunał wskazawszy na śmierć patrona Pazurkowskiego i pisarza Rojeckiego, nie może mniejszej kary naznaczyć Ramowiczowi, co był główną sprężyną całej tej zbrodniczej tajemnicy; a cóż do-

piero W. Kurdwanowskiemu, który pieniędzmi swojemi, jako istny szatan, tych wszystkich nikczemników skusiwszy, przywiódł ich do najszkaradniejszego występku: on, co będąc ze starożytnego na Podlasiu rodu, powinienby przykładem do cnoty wszystkich zagrzewać, związał się z przechrztami i ludźmi podejrzanego szlachectwa, aby biedną wdowę, prawdziwą jak on szlachciankę, zgubić. Jakażby była sprawiedliwość Najjaśniejszego Trybunału, gdyby takowa czynność płazem poszła panu Kurdwanowskiemu, i gdyby ten, co największą korzyść ze zbrodni otrzymał, sam jeden był wolny od kary? Po skończonym indukcie, nie czekając repliki, bo po prawdzie powiedziawszy, nie było co replikować, marszałek odezwał się temi słowy: — Odkładam sessyę do Wielkiej Nocy — i silnie stuknął laską; a pan Kurdwanowski się przebudził. Uczuł się zmęczonym tak dziwnym snem, przygotował się w dalszą drogę, i w wielkiej niespokojności siadł do pojazdu. Ale jak zaczął w umyśle jego dyabeł przeciw Panu Bogu patronować, i wmawiać mu: że sen mara; że o tem myślał, więc to się i przyśniło; że raz zacząwszy, ambicya każe kończyć; że prawo jest gatunkiem wojny, w której wszelki fortel uchodzi, byle zwyciężyć; że kto przekupuje, za łeb nie bierze, — więc ci co zaprzedali sumienie o sobie niech myślą, a on w czemże tak bardzo wykroczył? nawet okazał sumienie dość delikatne, bo nie

sam, ale umocowany jego zaprzysiągł komportacyę dokumentów;— że nakoniec kiedyś, jak przyjdą czasy po temu, może znaleźć sposobność i panią Glinkową wynagrodzić: tak i do Lublina przyjechał uspokojony, a przyjechawszy zaczął chodzić koło swojej sprawy, i popierać ją na sucho i na mokro. Aż tu przybywa do niego sztafeta z doniesieniem, że przed kilku dniami, gdy pan Pazurkowski wiózł pana pisarza Rojeckiego na jakąś kondescencyę, most się pod niemi zawalił, i pana Pazurkowskiego wyciągnęli z pod mostu bez duszy, a pan Rojecki w kilkanaście godzin po tym przypadku skonał.

Dopiero W. Kurdwanowski tak się przeraził, że pierwszy raz w życiu starał się o zgodę. Nie tylko, że zakwitował panią Glinkowę ze wszelkich pretensyi do jej majątku, ale z największą skrupulatnością wynagrodził jej wszystkie wydatki i szkody, jakie poniosła z jego przyczyny, i klęcząc w obliczu nas wszystkich, prosił, by mu odpuściła, opowiadając publicznie sen, który mu Pan Bóg łaskawy zesłał, a który w części już się ziścił. To mu wielką zjednało sławę, bo przyznanie się publiczne do winy, skrucha prawdziwa i zadość uczynienienie dobrowolne, są rzeczy nadludzkie, i tylko ulubieniec Boży może je uzupełnić.

Tak i trybunał, i pany i my szlachta wielceśmy się z postępu pana Kurdwanowskiego zbudowali,

a ten dowód nowy nieogarnionych, a tajemnych rozrządzeń Bożych, pewnie dla nikogo straconym nie został. Odtąd pan Kurdwanowski zupełnie odmienił prowadzenie się swoje; wszelkiego pieniactwa poprzestał, i wiódł życie chrześciańskie. Ale słowa we śnie słyszane: — odkładam sesyę do Wielkiej Nocy— utkwiły w nim; bo przez nie rozumiał, że w czasie Wielkiej Nocy koniecznie umrzeć musi. Co roku potem przez cały wielki post gotował się na śmierć, rachując się ściśle ze swojem sumieniem. Jakem się dowiedział później, w samej istocie umarł w czasie świąt Wielkanocnych, w podeszłym wieku, bo już i natenczas, kiedym go widział w Lublinie, nie był młody; a śmierć jego była do zazdrości, bo więcej lat trzydziestu do niej się gotował.

3.

Chociaż urodziłem się Litwinem, ziemianinem nowogrodzkim, i to mam sobie za zaszczyt, a wzdłuż i wszerz i nieraz poznałem całą Polskę, jednak muszę

przyznać, że Ukraina jest najpiękniejszą naszą dzierżawą. Tam ziemia bez pracy prawie obdarza rolnika, bydło tuczy się bez dozoru, mnóstwo koni i owiec okrywa pastwiska, a śpiewy wieśniaków i uroda wieśniaczek dowodzą, jak błogie jest ich życie. Słyszałem, że potem, jak ogromne majątki naszych dawnych panów poszły w rozdrób, nowych posiadaczy nieludzkość często przyprowadziła do smutniejszego stanu rolników tamecznych, niż gdzieindziej niewdzięczność roli. Wszystko to być może, ale mówię tylko o tem, co było za moich czasów i na com patrzał. Pierwszy kiedym poznał Ukrainę, nie była pora po temu, aby zastanawiać się nąd pięknością. Było to w roku 1763, kiedy po porażce naszej pod Gonyczanynem, ze szczątkami przebiegliśmy szybkim przechodem cały ten kraj szeroki, aby jak najprędzej dostać się na Wołoszczyznę, czegośmy dokazali pod wodzą JO. księcia Radziwiłła wojewody Wileńskiego. Patrzatrzałem, jak on ciągle na koniu zawsze się znajdował tam, gdzie największe było niebezpieczeństwo, i jak w najsmutniejszych przygodach, żadną chmurą nie oziębiał naszej nadziei. Byłem świadkiem jak pod Sawińcami, już blisko Dniestru, którego przejście było kresem naszych życzeń, kurtka jego była kilkakrotnie przeszytą wystrzałami karabinowemi, a kula armatnia padła o kilka kroków od niego, potem podniosła się i znowu upadła przy jego nogach; którą

to kulę, ważącą dwanaście funtów, kazał podnieść, a potem takowej wagi ze szczerego srebra odlać i ofiarować ją Najświętszej Pannie boruńskiej, gdzie ją widziano zawieszoną przed Jej obrazem.

Otóż tedy potem, JW. Ogiński wojewoda Witebski wysłał pana Azulewicza Tatara, ale obywatela zacnie urodzonego, co był potem pułkownikiem lekkiego pułku w wojskach Rzeczypospolitej, i zemną sąsiadował aż do śmierci w swojej wiosce dziedzicznej. Otóż z rozporządzenia Generalności, JW. Ogiński wysłał go do Islam Giraja, Hana krymskiego, aby przy nim prowadził nasz interes, i do tej Generalności zgłaszał się donosząc o każdej rzeczy przez posłańców, ale tylko ustnie, bo nie było sposobu wdawać się w papierki. Wysłano nas czterech młodzieży, na których się spuścić można było. Bo i pan Azulewicz nie wiekiem, ale wziętością od nas był starszym: biegły w językach bisurmańskich, posiadał ufność Generalności, a której nigdy nie zawiódł. Było nas czterech jemu dodanych: pan Michał Ratyński cześnikowicz Miński, pan Wojciech Massalski rejentowicz Oszmiański, pan Mikosza, co dobrze bisurmańszczyzny wyuczywszy się, został później tłómaczem rzeczypospolitej w Stambule, i ja, a każdy z nas musiał osobno jechać dla uniknienia podejrzenia. Dopiero w Humaniu łączyć się nam trzeba było, gdzie pan Mładanowicz rządca generalny, miał instrukcyę JW.

Potockiego wojewody Kijowskiego, swojego pana, aby nas opatrzył w to wszystko, co tylko pan Azulewicz zarekwiruje. I chociaż nas aż z Preszowa wyprawili, każdy swoją drogą do Humania szczęśliwie trafił, prócz pana Massalskiego, co został złapany przez komendę królewską i jako szpieg powieszony, bo nie chciał odkryć danego mu polecenia. Gdyśmy się połączyli w Humaniu, a opłakaliśmy przygodę naszego nieodżałowanego kolegi, nie zapomnieliśmy także o jego duszy, — bo pan Mładanowicz porządne egzekwie w kościele OO. Bazylianów mu sprawił, na których nie tylko my, ale nawet pan Azulewicz, choć mahometańskiego obrządku, modlił się; a potem układaliśmy dalszą naszą podróż. Trzeba się było nam udać naprzód do Siczy Zaporożskiej. Semen Kozyra, koszowy zaporożski, będący w ścisłych stosunkach z generalnością, skończył był dopiero życie, jakośmy o tem dowiedzieli się w Humaniu, i nachodziły wybory na jego następcę. Ta strata była dla nas bolesną, bo był przyrzekł, że się z nami złączy z wojskiem, którego mógł zebrać więcej trzydziestu tysięcy. Szło tedy o przychylność nowego koszowego, a mieliśmy po sobie Dziemdziuryka, pisarza Siczy, który tem mocniej nam pomagał, że miał być rodowitym szlachcicem polskim. On to ku nam był skłonił Semena Kozyrę, bo miał być człowiekiem oczytanym, bardzo przebiegłym i wielką miał wziętość w całem Zaporożu. On byłby sam wy-

niesiony na stopień koszowego, coby dla nas było bardzo pomyślnie, ale że wedle ich praw koszowy nie powinien był umieć ni czytać ni pisać, więc musiał poprzestać na pisaryi, drugim stopniu na Siczy. Pan Mładanowicz wyprawił nas z gorzałką swojego skarbu do Siczy, jako należących do ekonomii Humańskiej. Z batogiem w ręku przy podwodach wołowych idąc, raz tylko byliśmy zatrzymani przez Dońców; za okazaniem świadectwa ekonomii puścili nas natychmiast. Dodał nam był pan Mładanowicz kilku kozaków Humańskich doświadczonych, co już gościli w Siczy: myśmy się dali im powodować tem chętniej, że się okazali szczerze przywiązani do naszego wspólnego kraju. Przybywszy do Kahorlika, miasteczka należącego do włości humańskiej, a na którem kończyła się rzeczpospolita, trafiliśmy na czas jarmarku. Lubo miasteczko składało się tylko z wielkiej karczmy skarbowej, nad samą Sinichą, i kilku domostw żydowskich, jednak zjechały się na jarmark tłumy Tatarów, Kozaków, chłopów i żydów dla kupna lub sprzedaży koni, bydła, łoju, ryby suszonej, smoły i innych tamecznych towarów. My z podwodami stanąwszy przy karczmie, a woły na paszę puściwszy, weszliśmy do izby szynkowej, gdzieśmy zastali mięszaninę różnych narodów. Wieśniaczki Ukrainy uderzały nas wykwintnością swoich ubiorów. Widać było, że bogatszy kraj niż Litwa nasza. Na każdym

prawie żupanie galony błyszczały; a co tam było korali6w! na jednej szyi czasem kilka tysięcy. Kiedyśmy weszli, wszyscy słuchali ślepego bajarza, co grając na lirze śpiewał im różne wypadki, bądź z Pisma Świętego, bądź z dziejów ukraińskich. Śpiewał on wszystkie okoliczności porwania księżniczki Ostrogskiej przez Dymitra kniazia Sienguszkę. Uważałem, że najwięcej zajmowało Ukraińców, kiedy wyliczał dobra kniazia Dymitra, i szlachtę, i kozaków jego dworu, i księżnej Ostrogskiej dobra, i sług obojga płci, wszystkich po imieniu nazywając. To jak wymieni jakie imię, co je nosi który z parobków lub dziewek przytomnych, natenczas śmiechy i pokazywanie palcem tego lub tej, co się wymieniło. Myśmy byli ubrani jak chłopi ukraińscy, więc na siebieśmy oczu nie zwracali. Pan Azulewicz siadł między Tatarami, i z niemi zawierał znajomość i przyjaźń, co mu nie było trudno, bo po tatarsku mówił jak rodowitym językiem. Pan Mikosza zajadał kaszę jaglaną, co mu do izby szynkarka przynosiła; pan Michał Ratyński był tylko dziewkami zajęty i bardzo się do jednej zalecał, czem mnie niemało nafrasował, bo żaden z nas nie umiał się tłómaczyć językiem stosownym do stroju, który przybrał. Aleśmy przynajmniej milczeli, a pan Michał ciągle z litewska coś plótł pięknej dziewczynie, czem mógł nas wszystkich w niebezpieczeństwo wprowadzić, bo mogliby nas odkryć i dopiero byłaby bieda. Ale nic pana Michała

nie mogło oderwać od Ukrainki, która lubo z jego mowy czasem się naśmiewała, okazywała jednak, iż mu rada. A ja, lubom był wieku równego jemu, tylko śpiewem bajarza byłem zajęty, że od niego nic mnie oderwać nie mogło. Z tego śpiewu dowiedziałem się, że Artem Jełowicki, dziedzic czternastu wsi, był marszałkiem dworu księżnej Ostrogskiej; że na czele jej ludzi tak się był wsławił pod Luczatą przeciw Wołochom, że król Zygmunt ofiarował mu chorążstwo nadworne Litewskie, ale on nie przyjął tego zaszczętu, z powodu że księżna Ostrogska bez niego swemu dworowi rady nie da, i że urosłszy na usługach kniazia Ilii, nie godzi mu się opuszczać jego wdowy a według ewangelii, dwom panom służyć nie może, — (jakoż dopiero po jego śmierci kniaź Dymitr najechał zamek Ostrogski),—że kniaź Czetwertyński dziedzic Komajgrodu, towarzysz kniazia Dymitra i Wasila w tym najeździe, był synem Ostafiewa, który swoim kosztem utrzymywał pułk kozaków w służbie rzeczypospolitej i wielce był jej zasłużonym. Bardzo mu się chciało kasztelanii Bracławskiej, którą jemu król przyobiecał, ale panowie rady nie dopuścili tej obietnicy uskutecznić, chcąc wprzód do wiary rzymskiej jego pociągnąć, aby za jego przykładem wiele innej szlachty ruskiej nawrócić; ale on był zatwardziały i mówić o tem sobie nie pozwalał, a z powodu niedotrzymania słowa był nieco rozjątrzony.

O czem dowiedziawszy się przeciwna strona, wysłała jakiegoś posła, aby go namówić do siebie, a za to nie kasztelanem, ale kniaziem udzielnym Bracławskim zostanie. A on mu na to odpowiedział:— Skaży tomu, kto tebe prysław, szczo kniaź Jewstafii Czetwertyńskij didycz Komajhroda, a pałkownik korola i riczypospolitoj tobi skazaw, szczo maty persze pobje,a potom pomiłuje, a matchycha, persze pomyłuje, a potom pobje. — I z tem go odprawił.

Jak skończył bajarz śpiewać, a czapkę nadstawił, piątaki w nią padały, że aż się przepełniła; potem młodzież wzięła się do pląsów. Pierwszy raz widziałem jak kozaka tańcują; osobliwie jeden kozak prześlicznej urody z niewidzianą zgrabnością tańczył, przysiudy, jak oni nazywają, przy samej ziemi robił, potem do góry skakał i znowu spadał hołubca bijąc, a to wszystko czynił grając na bandurce, a po naszemu na teorbanie, i śpiewając ukraińskie miłosne piosenki. Dziewki ledwo go oczami nie jadły. Ale co nas uderzyło najwięcej, to kilku kozaków, których strój przepychem znacznie się różnił od wszystkich innych. Nosili szarawary granatowe z galonem złotym szerokim, półkontusze ponsowe z wiszącemi wyloty, żupaniki z białego atłasu, pasy jedwabne z frendzlami złotemi, i cza-

pki szerokie z siwego baranka, z wierzchu których wisiał jakoby worek ponsowy z kutasem złotym. Od kobiet widocznie stronili i usuwali się skwapliwie, kiedy przypadkiem która do nich się przybliżyła. Ale wszystkich mężczyzn znajomych i nieznajomych gorzałką i miodem traktowali, obowiązywali do picia i sami tęgo pili, a tak, że żyd arendarz wiadrami na ich rozkaz gorzałkę i miód nosił, a co przyniesie wiadro, natychmiast się wypróżni. I nas także częstowali z prostą ale obowiązującą grzecznością, tak, żeśmy nie mogli im odmówić spełnienia parę szklanek miodu. Tu mię wzięła taka ciekawość, że lubom postanowił sobie ust nie otwierać, zapytałem jednak żyda, co to są za ludzie tak bogato ustrojeni? A on mnie: — Co to wy cudzy, że nie znacie zaporożskich kozaków? Oni w dziesięć podwód z rybą chodzili do Humania i tam rybę sprzedali ale że dowiedzieli się, iż ich koszowy pomarł, nie mieli czasu zarobku swego przepić w Humaniu, bo śpieszą nowego wybierać. Z próżnemi furami na Kahorlik wracają do Siczy; tu wozy i woły poprzedawali. To moje szczęście, bo wszystko tu przepiją, goli do siebie powrócą. Te bogate żupany oni w Humaniu sobie posprawiali, bo na Siczy nie godzi się im tak stroić. Nim słonko zajdzie, to wy ich zobaczycie tak, jak chodzą u siebie.—To jeszcze więcej zaostrzyło moję ciekawość, i niecierpliwie wyglądałem wieczora, bo do-

piero przed samym zachodem słońca mieliśmy dalej ruszać, z powodu nieznośnego upału. Ale nie miałem potrzeby tak długo czekać, bo dwie godzin nie upłynęło, jak zaczął żyd ich rachować; zabrał im wszystkie pieniądze, tak, że każdemu po kilka piątaków zostało. Oni naówczas kazali podać sobie kadkę napełnioną dziegciem, i jeden po drugim w pięknej swojej odzieży w nią właził i zanurzywszy się w dziegciu po szyję, wyłaził z kadki, rozebrał się, i cały swój ubiór, jakby gardząc marnościami świata, na ulicę rzucał, aby go wziął kto zechce, i czapkę to samo, równie w dziegciu ją powalawszy. Potem każdy wdziewał koszulę w łoju zmaczaną i brudną siermięgę, w której z Siczy wyszedł, i z batogiem w ręku, dobrze pijani wyszli, nikomu nie powiedziawszy *bywaj zdrów*. Pan Michał Ratyński, pomimo moich nalegań, żeby się wyspał, bo przez całą noc iść nam będzie trzeba, nie mógł się wyrwać od swoich zalotów; nawet się puścił w pląsy z parobkami i dziewkami, czem bardzo nas rozśmieszył, osobliwie jak poszedł w prysiudy. Ale pan Azulewicz, pan Mikosza, kozacy humańscy i ja, w sieniach słomy miętej hojnie namościwszy, aż do godziny przeznaczonej dalszemu pochodowi porządnegośmy wczasu użyli. Jeszcześmy szli dwa dni gołem stepem; ani pagórka, ani drzewka nigdzie nie było widać, tylko ogromna przestrzeń podobna do morza w dniu spokojnym. Napotkaliśmy tylko mogiły oddalone jedna od drugiej w pewnym

wyrachowanym porządku, któreto mogiły służą kozakom za czaty i za sposób nie zbicia się z drogi w czasie zimowych zamieci. I tak bezludną przestrzeń przebywszy, stanęliśmy w Gardzie nad Bohem, gdzie się zaczynały posiadłości siczowych kozaków. Tam między skałami były porobione *jazy* czyli *tamy* do łowienia ryb, i tam zastaliśmy assaułę, przy którym w niebytności pułkownika będącego w Siczy na wyborach, zostawało dowództwo pułku Korsuńskiego stojącego w Gardzie na straży. Nasi kozacy zameldowali nas jemu, a on wszystkich uprzejmie przyjął i dodał nam dla konwoju jednego towarzysza siczowego, z buzdyganem żelaznym wielkim, najeżonym kolcami. Nasi kozacy wytłómaczyli, że widok tego buzdyganu jest dostatecznym, aby nas od wszelkiej przykrości zasłonić, i że chociaż Zaporożcy są skłonni do rozboju, z tym buzdyganem możemy być spokojni, —że przechodząc przez ich *ziemowliki*, będziemy jednak często nawiedzani od towarzyszów i ich czeladzi, że każdy pić będzie gorzałkę z podwód; ile mu się podoba, ale na tem ekonomia-humańska nic nie straci, bo byle kufę choć próżną przywieźć do Siczy, koszowy za świadectwem konwojującego towarzysza, że ona wypróżniona została po drodze przez Zaporożców, zapłaci za nią tak, jakby była pełną. A że Zaporoże dzieli się na 40 pułków, z których każdy nosi nazwisko jakiegoś miasteczka ukraińskiego: jeśliby

więc przypadkiem konwojowane podwody jaką szkodę poniosły, wtedy pułk, w którego obwodzie toby się stało, całkowitą szkodę winien jest wynagrodzić. Dowiedzieliśmy się, że oni bardzo często pierwej rabowali Humańszczyznę, ale pan Ortyński, rządca Humańszczyzny, który umarł podczaszym Bracławskim, ubezpieczywszy Humań wokoło fossą głęboką i ostrokołami, a wyćwiczywszy milicyę nadworną JW. Potockiego wojewody Kijowskiego, nie tylko że ich odpierał i raz tyle tej zgrai nabił, że aż pięć mogił na przedmieściu Humania na ich ciałach usypał; ale jeszcze i na całą Sicz napadał, ziemowliki ich palił, trzody, stada zabierał, a tych Zaporożców, których brał żywcem, w dyby zabijał i w Humaniu do ciężkich robót zmuszał. A że to kilkakrotnie się zdarzyło, więc Bandur Mamałyg, co był natenczas koszowym, z ekonomią humańską i smilańską zaprzysiągł wieczny traktat, że już odtąd nie będą Zaporożcy rabunków popełniać w Polsce, ale za świadectwem wolno im będzie przybywać dla handlu do Humania, Smiły i innych dzierżaw domów Potockich i Lubomirskich; a oficyalistom i poddanym włości humańskiej i smilańskiej za świadectwem ekonomii wolno będzie także dla handlu bywać w Siczy, do niej jadąc przez Gardę, gdzie była straż zaporożska od granicy rzeczypospolitej, i buzdygan ma być w ręku naczelnika dla ubezpieczenia przejeżdżających. Gdyby jaki Zaporożec przeciw temu traktatowi wy-

kroczył i najmniejszej się kradzieży dopuścił, bądź we włościach wzmiankowanych, bądź na podwodach buzdyganem konwojowanych, koszowy śmiercią go karał, po osądzeniu sprawy przez sędziego Siczy a napisaniu dekretu przez pisarza. A śmierć była zadawaną następnym sposobem: winnego przywiązywano u słupa, i obok niego kładziono stos kijów i kadź gorzałki; każdy tedy kozak koło niego przechodząc gorzałki się napił i kijem go uderzył, i póty bili i pili, póki mu życie odebrali. Takową śmierć niedawno był poniósł Tymosz Podkujko Sołowiej, ataman i poeta zaporożski, którego pieśni w obudwóch Ukrainach śpiewają, a to z powodu, że koszowy Semen Kozyra, ten sam którego śmierć dopiero nastąpiona była dla nas nieodżałowaną stratą, przyjmując u stołu swojego przybyłych oficerów w interesach Carowej, kazał, jak u nich we zwyczaju było przy końcu obiadu Sołowiejowi grać na bandurze i śpiewać. On, chcąc się gościom przymilić, ułożył naprędce piosnkę, w której między innemi rzeczami było, że Lachy ubogie, bo choć żonki sami mają, dla ich popów żonek nie wystarcza. Zaporożcy jeszcze ubożsi, bo choć popom dają żonki, sami bez nich obchodzić się muszą, a Moskale najbogatsi, bo mają żonki i dla swoich popów i dla siebie. Otóż po odprawieniu oficerów, koszowy oddał pod sąd Tymosza Podkujkę Sołowieja, że ważył się naganiać ustawy Siczowe, i jako przekonany o tę zbrodnię, był kijami

ubity, pomimo, że względy u koszowego i wielką miłość miał w całem Zaporożu. Tak wielkie oni mają uszanowanie dla praw swoich. Rzeczywiście oprócz popów, których jest tyle, ile pułków, to jest czterdziestu, z których niektórzy byli żonaci, żadnej kobiety nie było w całej Siczy i żadnej nie wolno było nogą na jej posiadłości stanąć. Ludność zaporożska utrzymywała się raz przyjmowaniem do siebie zbiegów, bądź z Polski, bądź z Moskwy, najczęściej najgorszych hultajów, którzy na Siczy poddawszy się pod ostre prawa, dochowywali wiernie ich przepisów; drugi raz z chłopczyków za granicą kradzionych, których przysposabiali za synów, a którzy po nich odziedziczali majątki. Jeżeli kozak umierał, nie zostawując przysposobionych synów, natenczas jego majątek na dwie części był podzielony; połowę brał koszowy dla siebie, a połowa dostawała się cerkwi pułku, z którego był nieboszczyk, z tego powodu cerkwie były u nich bogate. Oprócz tego koszowy miał wielką wyspę na Dnieprze, na której osadzonych kilka wsi chłopów żonatych czynsz mu płaciło, i jego był wyszynk gorzałki. Często kozacy synów tych chłopów przysposabiali. Koszowy i urzędnicy (których było dwóch tylko, pisarz i sędzia), ubogiem odzieniem swojem nie różnili się od prostych kozaków, a ich mieszkania skromne odznaczały się tylko obszernością sadów. Dziesięcina pszczelna składała

dochód pisarza i sędziego. Każdy pułkownik pobierał małą jakąś opłatę od koni, bydła i owiec, i na utrzymanie kureni, a w każdym kureniu pułkownik utrzymywał za to kozaków, co chleb piekli, jeść warzyli i gorzałkę szafowali dla wszystkich, tak regestrowych towarzyszów, jako ich czeladzi, komu się podobało w kureniu hulać. Tak rozmawialiśmy z kozakami humańskiemi o ustawach i obyczajach tego osobliwszego narodu, przechodząc pięknym krajem, co był jego siedliskiem; bo już nie goły step, ale gdzie niegdzie okazywały się gaje, a jary zieleniały olszyną i wierzbiną. Smutno było tylko, że śladu rolnictwa nie widać. Żadnej pracy nie chciał znosić Zaporożec, rolnictwem się brzydził, a nawet sadem rzadko który się bawi. Próżniactwo było ich jedyną pociechą. Przybyliśmy do miasta Siczy. Że pułków było czterdzieści, a każdy pułk miał swoję karczmę drewnianą i długą, te więc czterdzieści karczem składały rynek, i to było całe miasto Siczy. Prócz tego była cerkiew, chałupa protopopa, koszowego, pisarza i sędziego. Chałupy obszerne, przy nich wielkie sady, szczególnie koszowego, którego mieszkanie tem się tylko odznaczało, że obok chałupy była wielka stajnia murowana, w której koszowy do sześciudziesiąt koni utrzymywał, i to był cały jego zbytek. Stanąwszy na rynku, poszliśmy prosto do pisarza, któregośmy zastali przed jego chałupą na zydlu siedzącego z fajką w gębie; był to człowiek

przynajmniej siedemdziesięcioletni, ale czerstwy Rysy jego twarzy nielada okazywały człowieka; on już był przygotowany, aby nas przyjąć, i z panem Azulewiczem rozmawiał jak z poufałym przyjacielem, lubo pierwszy raz go widział. Zaprosił nas wszystkich czterech, byśmy się do jego chałupy wnieśli, i zaprowadziwszy nas do niej, mówił do nas czystą polszczyzną, nawet z wymową litewską. Powiedział nam: — Źle się zrobiło, bo tylko co obrali koszowym Jura Majborodę. Intryga jego wyniosła. On jest fanatykiem, uroił sobie, że jak Polska pozbędzie się nieprzyjaciół, to Sicz zmusi do Unii, z tego powodu wpływy mieć będzie nad nim nasz protopop, który jest zawzięty na Polaków za to, że na pal wbito w Żytomierzu jego siostrzeńca. Pokąd tedy władać będzie Majboroda, nie możecie się od nas spodziewać pomocy. Ja jeszcze przez jutrzejszy dzień wszystko lepiej wybadam, a potem niech który z panów nazad pośpiesza do generalności z tem, co wypadnie jej powiedzieć.

A teraz muszę iść na ceremonię wejścia koszowego w swój obowiązek, co długo trwać nie będzie: a wy zdaleka stojąc, możecie się temu przypatrzyć; potem wrócicie do mojej chałupy i na mnie czekać będziecie. Będzie uczta wielka u koszowego, on wieczerzę całej Siczy sprawuje, wszyscy się na śmierć popiją, oprócz mnie; bo w dzień wyboru koszowego

obchodu jego rocznicy, pisarz żadnego mocnego trunku do ust przybliżyć nie może wedle praw naszych. Przy nim zostaje władza, a prawo chce, aby choć jeden przynajmniej był trzeźwy. — To wyrzekłszy, natychmiast wyszedł, wziąwszy papier w rękę i kałamarz, a za ucho włożywszy pióro, by zapisać akt inauguracyi. Po niejakim czasie i my poszli na rynek, gdzie już było mnóstwo kozactwa przed karczmą pułku Czehryńskiego, w której był nowy koszowy, niegdyś assauła w tymże pułku. Z wielkiemi okrzykami prowadziła go tłuszcza z karczmy do domu koszowego, na dziedzińcu którego były cztery wozy przewrócone. Kozactwo natychmiast te wozy ziemią zasypało tak, że się wzniósł kurchanek dość wysoki. Na wierzchołku tego kurchanku siadł nowo obrany koszowy, a z każdego pułku po jednym towarzyszu regestrowym weszło do izby, i porządnie zamiotłszy całą chałupę, wszystkie śmiecia w ogromny kosz włożyli, tak, że go napełnili, a potem zanieśli ten kosz na wierzch kurchanku, i z trudnością podniósłszy go, wypróżnili całkowity na głowę nowego koszowego, i natychmiast śmieciami został osypany, a pisarz głośno wyrzekł:—Jak widzisz siebie okrytym śmieciami, tak w każdej potrzebie znajdziesz nas wszystkich od siebie nieodstępnych.—I taka była całkowita ceremonia inauguracyi naczelnika Siczy, który z powodu tego na nim przewróconego kosza, nosił nazwanie koszowego. Dopiero wszedł koszowy do domu swojego,

i odtąd zaczynała sie jego władza. Pierwsza jego czynność była, iż odbił piwnicę swojego poprzednika zkąd wszystek miód, wiśniak i gorzałkę wytoczyło kozactwo, że próżną została. Wszyscy siedli na ziemi, koszowy i kozacy około kotłów napełnionych barszczem, kaszą, kluskami i pieczeniami różnego mięsiwa, z których kotłów każdy drewnianą łyżką brał na swoją misę ile mu się podobało, i wszyscy jęli zajadać z wielkiem żarłoctwem, każde kilka kęsów popijając wiśniakiem lub gorzałką, a to szklankami; pisarz siedział osobno i to jadł co oni, ale prócz dzbanka wody nie miał innego napoju. Przybyłym kupcom i innym ludziom, nie należącym do Siczy, między któremi i my byliśmy, koszowy z wielką gościnnością trunki rozsełał, i w misach jadła, które lubo niewymyślne, nam smakowały. A gdyśmy spostrzegli, że mózgownice tak kozackie jak i przybyłych zaczynają się rozgrzewać spirytusem, wycofnęliśmy się z tej zgrai, i wrócili do domu pisarza, gdzie było nasze *locum standi*. Nie doczekawszy gospodarza, około północy poszliśmy do spoczynku. Z rana pan Azulewicz mnie oświadczył, że tylko przez ten dzień wypocznę w Siczy, a nazajutrz ze świtem z próżnemi podwodami wrócę do Humania, ztamtąd zaś jak najśpieszniej starać się będę dostać do generalności z doniesieniem, że on, Azulewicz, puścił się do Bakczysaraju, że cała nadzieja na Tatarach, że na Siczowych kozaków spuścić się nie można, bo wszyscy ich popi są Polsce nie-

życzliwi: a nowo obrany koszowy Majboroda będzie się niemi wedle wszelkiego podobieństwa powodował. Tyle tylko przynajmniej, że możemy być pewni, iż przeciwko nam działać nie będzie, jako Dziemdżuryk sam to zaręczył. Ostatni raz siedząc za stołem pisarza, i będąc tak bliskim pożegnania go, wedle wszelkiego podobieństwa na zawsze, odważyłem się mu powiedzieć:—Niech to pana pisarza nie obraża, że tu jego chleb jedząc, może zbyt śmiały jestem w mojej ciekawości, ale mnie uprzejmość pańska do tej poufałości ośmiela. Co to za powód, że pan, widocznie będąc szlachcicem polskim i mężem tyle światłym, iż u nas równych mu niewielu, zostałeś członkiem towarzystwa złożonego z ludzi, niech to pana nie obraża, prostych włóczęgów i po większej części hultajów.— On mi odpowiedział na to: — Nie będę przed wami krył tajemnic mojego żywota, ani wypadków, które mnie tu zapędziły. Jestem szlachetnie urodzony, i moje przeznaczenie pierwiastkowe było posiadać kiedyś majątek i urząd; jakoż w pierwszej mojej młodości byłem chorążym w kawaleryi narodowej. Jestem ziemianinem województwa Witebskiego, a moje prawdziwe nazwisko Wołk, familia znana w Litwie. Mój ojciec był szczupłego majątku, ale szlachcic dobry i zagranicą wychowany. W wojnach króla Jana się wsławił, i byłby doszedł może do wysokich zaszczytów, gdyby wiara jego nie była przeszkodzie; był bowiem rodowitym kalwinem. Jednak, że

był młody, przystojny i grzeczny, podobał się pannie Zawiszance, kasztelance Mińskiej, jedynaczce mającej znaczne dobra. Pomimo perswazyi całej familii Zawiszów, przyzwyczajonej wiązać się z magnatami im równymi, moja matka, zależąc jedynie od siebie, poszła za skłonnością serca. Mój ojciec na żoninej ziemi osiadł w temże województwie Witebskiem, gdzie i jego samego było gniazdo. Żył na wsi, pilnował roli, pozyskał przyjaźń sąsiadów, i tyle szanował przekonanie mojej matki, że cienia zgorszenia nigdy jej nie dał. Było nas dwoje dzieci, ja i siostra odemnie młodsza; oboje nas wychowano w macierzyńskiej wierze. A ojciec kilka razy na rok jeździł do Kopyścia dla dopełnienia swoich obrządków, ale tak, że w domu nikt o tem nie wiedział. Zresztą obyczajami swojemi we wszystkiem się stosował do wyznania matki, pościł z nią razem, bywał z nią w kościele, dla kwestarzów był hojnym, a o religii nigdy nie mówił. Póki żył nasz proboszcz, człowiek prawdziwie świętobliwy, który nikogo nie wyłączał z miłości chrześciańskiej, i niczyjego przekonania nie potępiał, pożycie moich rodziców było szczęśliwe. Ale po jego śmierci, jak księża orszańscy wzięli wstęp do naszego domu, wszystko się odmieniło. Ksiądz Rokita został spowiednikiem mojej matki, i wkrótce ją opanował; bo to był człowiek właśnie, jakiego potrzeba do zniewolenia babskiego umysłu. Próbował on i mojego ojca nawrócić, ale ten zawsze zbywał go milczeniem

lub odwróceniem mowy do innego przedmiotu, i lubo nigdy się nie ominął z grzecznością gospodarską, umiał mu dać poznać, że w żadne ścisłości z nim się wdawać nie chce. Ale z moją matką był szczęśliwszy i odpłacił mojemu ojcu jego niechęć ku sobie. Zaczął jej wmawiać, że kacerstwo jest największą zbrodnią, że kto w Papieża nie wierzy, jest nieprzyjacielem Chrystusa Pana, i, że od takiego trzeba uciekać jak od poganina, że dyssydent każdy z uporu tylko i z pychy trzyma się swojego kacerstwa, bo okrom katolika, nikt nie ma istotnego przekonania o rzetelności swojej wiary, że tylko u katolików są prawdziwe cnoty, a jeśli jaki dyssydent jest poczciwym, są to tylko obłudy, które u Pana Boga na żadne nie zasługują względy, i inne tym podobne rzeczy, któremi tak obałamucił matkę, że przywiązanie do męża straciła. Po daremnych usilnościach, aby ojciec zrewokował, nastąpiły kwasy, a nakoniec pożycie dwudziestoletnie szczęśliwe byłoby się rozeszło, gdyby zgryzoty nie przyśpieszyły śmierci mojemu ojcu, właśnie jakby dla zapobieżenia takiemu zgorszeniu. Po śmierci ojca, już żadnej przeszkody nie mieli księża w zupełnem zawładaniu naszego majątku; kto tylko nie był z ich ręki, u matki nie mógł się utrzymać, bo nawet do niej nie miał przystępu. Dość, że w najpożyteczniejszych okolicznościach matka niczego się nie imała bez zezwolenia księdza Rokity. Mojej siostrze wmówili powołanie do zakonu, i w klasztorze ją osadzili, toż

i ze mną chcieli zrobić, alem się ja nie dał, a za wsparciem Zawiszów, ludzi możnych, a moich krewnych, zostałem chorążym pancernym. Będąc młodym i burzliwym, a z powodu nieboszczyka ojca nienawidząc księży, gdy byłem u matki, sprzeciwiałem się im nieraz i tem się mojej matce narażałem, że jak do mojego ojca, tak i do mnie serce utraciła. Dopiero ksiądz Rokita dawaj jej wmawiać: że rozwiązłe prowadzę życie, że do spowiedzi nie chodzę, że jestem kalwinem ukrytym, że majątek w mojem ręku na Pana Boga obrazę obróconym będzie, i że lepiej go Panu Bogu ofiarować. Dość, że kiedy ja poczciwie rzeczypospolitej służyłem, wszystko się gotowało, aby mi kurtę wykroić. Zabrałem był znajomość z panną zacnego domu i posażną: starałem się o jej przyjaźń i wkrótce otrzymałem obietnicę od jej rodziców. Już był dzień ślubu naznaczony, tylko szło o to aby mi matka coś wypuściła; w tym związku całe szczęście upatrywałem, bom szczerze kochał swoją narzeczoną. A moja matka występuje z donacyą całego majątku swego na rzecz różnych klasztorów, nic dla mnie, ani nawet dla siebie nie wyłączając, sama zaś osiada w Orszy na dewocyi. Rodzice mojej narzeczonej, widząc mnie gołym, zerwali ze mną mówiąc. — Wybaczaj, panie chorąży, ale sam widzisz jak się rzeczy mają; nie masz gdzie nam córkę zawieźć, a my naszego dziecka na włóczęgę puścić nie możemy.— Udałem się do OO. jezuitów, błagałem księdza Rokitę, żeby

choć cząsteczkę majątku mnie oddali, że sama sprawiedliwość od nich tego wymaga. Ksiądz Rokita odpowiedział mi z łagodnym uśmiechem:—Że choćbym cały świat posiadał, jak duszę zgubię, wszystko mi się na nic nie przyda, a bogactwa często świeckich do grzechu prowadzą, i że jeżeli jestem dobry katolik, o czem nie wątpi, powinienem wolę matki szanować i cieszyć się, że jej majątek będzie obrócony odtąd na ćwiczenie młodzieży w bogobojności i nawrócenie pogan. Żadnego udziału z daru matki z boleścią serca zrobić nie mogą, bo alienując fundusz kościelny, podpadliby pod ekskomunikę; zaś w mojej mocy, jeśli mam ku temu powołanie, korzystać z tego majątku wstępując do ich towarzystwa, a nakoniec, cokolwiek postanowię z sobą, nie przestaną się modlić za synem ich dobrodziejki.—I to wyrzekłszy, uniżenie kłaniając się, prosił mnie o przebaczenie, że nie może dłużej ze mną bawić bo śpieszy do konfessyonału. Wyszedłszy z klasztoru, pałając zemstą, udałem się do dóbr niegdyś mojej matki; tam zebrałem kilku sług nieboszczyka ojca, których moja matka oddaliła za namową Rokity; łatwo więc ich było skłonić aby mnie w zemście pomagali. Uzbrojeni wpadliśmy w nocy do klasztoru Orszańskiego; własną ręką zamordowałem księdza Rokitę, a dwóch jego towarzyszy, którzy byli w naszym domu, zakłóli moi pomocnicy, mający do nich jakiś żal; resztęśmy powiązali a cały klasztor zrabowawszy, podzieliliśmy się znaczną gotowizną.





t. 1
9336/1